Nr. 27. Lwów, Niedziela dnia 11. Marca 1877 r. **Tom IV.**



ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **Ad. Dygasińskiego.**

Redakcja:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracja:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

KSIĄZKA LUDOWA.

Zamieściliśmy w ostatnich numerach naszego pisma w rubryce „Wiadomości z kraju“ korespondencję z Rohatyńskiego, w sprawie szkół i oświaty. Zwracamy na nią szczególną uwagę naszych czytelników, zawiera bowiem bardzo wiele trafnych spostrzeżeń, zebranych nie przy biurku urzędnika, ani wysnutych z tego, co sobie o stosunkach wiejskich wyobrażają ludzie, którzy wieś znają tylko „z widzenia,“ czasem tylko dla rozrywki do niej zaglądając — lecz oparte na doświadczeniu człowieka żyjącego wśród ludu, i gorliwie nad oświatą jego pracującego. Będziemy mieli nieraz sposobność powrócenia do sprawy oświaty ludu, która jest dla narodu kwestją żywotną. Wyjmując z niej dzisiaj jeden tylko szczegół — w czem nawiążemy do wspomnianej korespondencji z Rohatyńskiego — musimy przedewszystkiem zaznaczyć to nasze przekonanie, że ludu nie oświecisz ani samą szkołą, ani samą książką, ani samym chociażby najlepszym i najusilniejszym wpływem inteligencji na wsi zamieszkałej, a szczególniej kobiet, ani samemi kółkami włościańskiemi opartemi o Towarzystwo rolnicze, ani samem życiem publicznem w zreorganizowanej gminie i w Radzie powiatowej, lecz tem wszystkiem razem. Szkoła jest cząstką życia, i taką, która na cały przebieg jego wywiera wpływ bardzo przeważny, ale też i życie jest szkołą, i albo rozwija dalej i kształci dobre nasiona przez nauczyciela rzucone, albo też zasiewa obok nich chwasty, które się także przyjmują, i nieraz tłumią zupełnie dobry posiew. Tak jak życie już w ciągu szkolnych nauk wywiera wpływ bardzo ważny na ich wyniki, a to przez otoczenie dziecka, przez ową atmosferę moralną, w jakiej dziecko wśród rodziny żyje — tak znowu szkoła winna dobrą swą działalność rozciągać po za owe lata „obowiązkowe,“ w których dziecko pod jej opieką pozostaje, winna się starać o to, ażeby w dalszem życiu działały także dobroczynne wpływy na umysł jego i charakter, a tem samem neutralizowały nieco szkodliwe wpływy otoczenia i tych fatalnych warunków, wśród których zbiega życie naszego wieśniaka. Cel ten osiągnie szkoła, jeżeli na teraz pominiemy osobisty wpływ nauczyciela na swoich dawnych uczniów, za pomocą rozbudzonego w uczniach zamiłowania do czytania, za pomocą książki.

Korespondent nasz rohatyński pisze o książkach ludowych butwiejących wśród pyłu. Tak jest jeszcze prawie powszechnie, szczególniej we wschodniej części kraju. Czyja w tem wina, że lud nie czyta, albo czyta bardzo mało? Winą to dzielą się szkoła i życie. Szkoła, o ile nie umie rozbudzić w ludzie zamiłowania do książki — życie o ile nie umie dać ludowi do rąk książki dobrej. Od r. 1867 tj. od czasu kiedy sprawami szkół ludowych poczęto się żywiej zajmować, mija lat już dziesięć. W wykazach stanu szkół ludowych z tego dziesięciolecia, znajdujemy zawsze cyfrę znacznie wyższą niż 200.000 dzieci co roku do szkół ludowych uczęszczających. Że zaś na wsi nauka szkolna właściwie dłużej nad 5 lat nie trwa, chociaż na papierze jest inaczej, przeto w tym dziesięcioletnim okresie powinno było opuścić szkołę przynajmniej 400.000 dzieci umiejących czytać. Choćbyśmy jednak tę cyfrę uznali jako zbyt wysoką, choćbyśmy ją nawet przepołowili, choćbyśmy dalej uwzględniając znaczną liczbę szkół miejskich i z tej połowy wzięli połowę tylko — to zawsze jeszcze pozostanie zastęp 100.000 czytelników, który powinien był w tem dziesięcioleciu wyjść ze szkół wiejskich. Jeżeli tak się nie stało, wina w tem szkoły, i dowód oczywisty, że nauczyciele (mówimy o wielkim ogóle, nie o gorliwych a skutecznie pracujących wyjątkach) nie umieli w dziatwę szkolną zaszczepić zamiłowania do książki.

Pewna część jednak szkół i nauczycieli spełnić musiała swe zadanie. Zejdźmy w cyfrze wymagań naszych jak najniżej, przypuśćmy, że się ów statystyczny zastęp redukuje do dziesiątej swej części — że dziesięć tylko tysięcy czytelników wiejskich wydały szkoły ludowe w ostatniem dziesięcioleciu. Jest to — w stosunku do uczęszczających — cyfra tak mała, że jako pewne minimum postawić ją możemy. Czyż można jeszcze powiedzieć, że nie ma dla kogo pisać tych dzieł ludowych? że dobrze kierowane wydawnictwo, przy dobrem urządzeniu kolporterji, przy współudziale inteligencji wiejskiej właściciela, dzierżawców, nauczycieli, duchowieństwa, towarzystw rolniczych, oficjalistów, słowem wszystkich tych, którzy z ludem bliższą mają styczność, nie odniosłoby skutku? Je-Jeżeli więc książki ludowe butwieją w pyle, to nie dla tego tylko, że mało jest jeszcze czytelników, lecz dla tego głównie, że te wszystkie czynniki, które mogłyby w organizacji sprawy oświaty najwłaściwiej pełnić funkcję rozdzielania tego umysłowego pokarmu, albo są zbyt obojętne albo zbyt ociężałe, albo wreszcie przez nikogo do pełnienia tej funkcji nie zostały szczególnie wezwane.

Bardzo często spotykamy się ze zdaniem, że lud oddany przedewszystkiem pracy około swej roli, nie ma czasu na czytanie książek. Jest to jeden z tych frazesów, jakiemi radzi uchylamy się od spełnienia obowiązku. Bo pomijając już owe rozliczne dnie świąteczne, w których praca na wsi ustaje zupełnie, a książka mogłaby wejść w swoje prawa — pozostaje cała pora zimowa, dla włościan naszych mijająca prawie bez zatrudnienia. „Tydzień“ raz już zwrócił uwagę na to, czem w porze tej może się stać książka dla ludu, czem zapełnić wieczór cały, zaczynający się w chacie ciemnej tak wcześnie? Zapełnia się go zwykle gawędą w wiejskiem kasynie — w karczmie, zapełnia się straszną nudę tych długich zimowych wieczorów pijatyką, bójkami, wszelaką rozpustą! Wprowadźmy książkę do chaty, wprowadźmy obok niej przemysł domowy, a zatamujemy główne źródło demoralizacji, przywrócimy znaczenie domowego ogniska, wzmocnimy rodzinę, tę główną podstawę społeczeństwa. Karczma straci podstawę uroku — tyleż uroku odzyska chata i rodzina. Tu zatem wpływ książki nie kończy się na tem, co z niej lud wyczyta, czem z niej wzbogaci swój umysł — ale może ona mieć bardzo doniosłe, moralne, społeczne, ekonomiczne nawet znaczenie.

Nie tu miejsce rozbierać szczegółowo, jaką

winna być książka, aby trafiła do ludu, aby umiała utrzymać i rozwijać dalej obudzone w szkole zamiłowanie do czytania, aby powyższe zadanie swoje w całości spełniła. Pisaliśmy o tem nieraz — i nieraz jeszcze do przedmiotu tego powrócimy. Dzisiaj chodziło nam tylko o to, ażeby wszelkiej unikając jednostronności, wskazać na równorzędne stanowisko książki obok innych czynników wchodzących w system pracy nad oświatą ludu, przypomnieć, że przy najgorszym zawet stanie szkół jednak co roku opuszcza szkoły pewien zastęp młodzieży wiejskiej, umiejącej czytać a w części może i do czytania zamiłowanej, i że zostawiając zastęp ten bez żadnej dalszej opieki i pracy nad jego oświatą, bez dostarczenia mu książki, wyrządza mu się ciężką krzywdę, bo skutkiem tego zatrze się z czasem w jego pamięci to, czego szkoła nauczyła. Korzystamy wreszcie z tej sposobności, ażeby komitet zawiązany przed rokiem przeszło do wydawania dzieł ludowych zainterpelować, co się też dzieje z jego wydawnictwem? Byłoby wielce dla sprawy oświaty pożądaną rzeczą, żeby komitet częściej dawał znak życia, żeby częściej o wydawnictwach jego można było z pism publicznych powziąć wiadomość. Nie możemy przypuszczać, ażeby się nie znalazła w kraju pewna liczba takich, którzyby się temi sprawami bardzo gorliwie zajęli, ale może i nie wiedzą o nowych dziełkach ludowych, wielu takich którzyby działalność komitetu bardzo usilnie poparli, gdyby o niej częściej słyszeli i czytali. Reklama — w dobrem znaczeniu tego wyrazu — jest tu niezbędną.

ŻELIGA.

Powieść

JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Kasztelan znajdował właściwem, nie kryc się w chwili tak krytycznej przed światem; po namyśle otworzył dom, oznajmił w gazecie swój przyjazd, przyjął pocisk piersią obnażoną.

Społeczność, która wszystko zawsze wytłumaczyć umie po swojemu, powiedziała na to: zręcznie! bardzo zręcznie, ale zuchwale... za katy! Przyjaciele prawdziwi Żeligi milczeli, z powagą ludzi obrażonych, którzy nawet tłumaczyć się nie widzą potrzeby.

Takie było usposobienie ogółu i stan rzeczy w Warszawie; rósł niepokój i oczekiwanie. Achinger się gotował do walki, gdy jednego poranka odebrał z domu umyślnego posłańca i list od głównego dowódcy tej straży, którą otoczył żonę.

Z listu wyczytał ze zdziwieniem i niepokojem, z którego sobie sam rachunku jeszcze zdać nie mógł, że pięć dni temu, nocą pani Achingerowa w jednej koszuli i przyodziewku, wyłamawszy okno od alkierzyka, uciekła i niewiadomo gdzie się podziała. Szczegóły, które na dwóch arkuszach najniedorzeczniej spisał ekonom, nie naprowadzały na najmniejszy ślad, jak się to stać mogło. Warty co noc stawiono około dworu, w pokoju pani spała nieodstępna dziewczyna służąca: okno było drewnianą kratą i okiennicą dębową uzbrojone. Nadedniem alarm dany był przez dziewczynę przestraszoną, która przebudziła ekonoma; w jednej chwili konnych i pieszych rozesłano na wszystkie trakty, strzęsiono budynki, szukano gdziekolwiek szukać było można, nie znaleziono jednak najmniejszego śladu, nie pochwycono wieści. Ekonom nie bez pewnej słuszności przypuszczał, że włościanie litujący się nad losem kobiety, którą pochodzenie do nich zbliżało, ułatwić musieli ucieczkę. Jednakże mimo energicznych śrdoków użytych przez rezolutnego ekonoma ku wybadaniu prawdy, nie odkryło się nic, żaden słowa nie pisnął. Ci, którzy tej nocy byli na straży u dworu, chodzili już w kłódkach. Dziewczyna była przytrzymaną, klucznica podejrzana także, połowa wsi pilnowała drugiej; doniesienia najsprzeczniejsze pozbierane w różny sposób, spisał referent wypadku nader troskliwie, ale z tego wszystkiego żadnego światła wydobyć nie było można. Pani Achingerowa jak w wodę wpadła, a byli tacy, którzy istotnie utrzymywali, że pod bliskim młynem rzuciła się w potok. Staw był głęboki i oparzelisty.

Przeczytawszy to doniesienie, nie wiedząc jeszcze czy cieszyć się z niego czy rozpaczać, Achinger skoczył do Bajkowskiego.

Nie zastawszy mecenasa w domu, czekał na niego do północy; wrócił luminarz palestry trochę pod dobrą datą, ale znany był z tak tęgiej głowy, że gdy kilka garncy węgrzyna wypił, jeszcze jaśniej wtedy i potężniej argumentował. Tyle tylko, że go pod ręce przed kratki prowadzono i stawiano tam, a gdy czuprynę potarł i odchrząknął, pod hełmem miał swadę najpiękniejszą. I tym razem dobrze cięty, jak tylko się do krzesła dobił, siadł, mokrą chustką łysinę przykrył, bo to był jego sposób trzeźwienia się w nagłych razach, i gotów był najzawilszą sprawę badać.

Dostawał czkawki tylko, i po tej poznawano zwykle, że już sobie podchmielił.

Achinger, który go z tej strony nie znał, zatrwożył się, ale wprędce pokrzepiony został, gdy głos usłyszał.

— Nie zważaj waść — rzekł mu Bajkowski — to są minima, bagatele, mów... co się stało.

Za całą odpowiedź Achinger wziął się do czytania listu, którego Bajkowski bardzo bacznie wysłuchał, nie dając żadnej oznaki po sobie.

Achinger skończył dysząc niepokojem, a Bajkowski z głową na piersi spuszczoną, siedzi zadumany, nie mówiąc słowa, jakby o sprawie nie myślał, Zadzwonił tylko i kazał sobie podać gorącego ponczu szklankę do poduszki, bo ten go ratował zawsze od skutków węgierskiego wina, poczęstował nawet klienta, zalecając mu to dla konkocji i nie rychło się odezwał:

— Otóż to jest rzecz śliczna! i nic się nam lepszego, pomyślniejszego, szczęśliwszego przytrafić nie mogło. Waż wąćpan... śladów nie ma ucieczki... *fecit cui prodest* — axioma, a komuż *prodest?* naturalnie kasztelanowi niby... Kto mógł tak dokonać tej sprawy mimo czujności mimo straży, mimo sług, jeżeli nie magnat, potentat, człek co grosza nie żałował.. Presumpcja ogromna winy, gdy winowajca nie czekając wymiaru sprawiedliwości ucieka. Wszystko to daje nam nową siłę, jest wyborne, a jegomość dopiwszy ponczu... co do sumienia jego należy, idź spać i mnie się daj położyć, bo jest godzina *ni fallor*, pierwsza z okładem.

To mówiąc zadzwonił Bajkowski na chłopaków swoich, aby go do łóżka przeprowadzili, bo nogi miał w takich razach słabe, i pożegnał bez ceremonji Achingera, solwując sesję do jutra.

Nazajutrz raniej niż zazwyczaj do pokoju Barcińskiego wszedł kasztelan; szlachcic dopiero był rozpoczął ablucje zwykłe z konewką zimnej wody, gdy gospodarz ukazał się na progu. Po twarzy jego poznał stolnik, że coś nowego i przykrego zajść musiało; ale kasztelan usiadł milczący i podparł się na dłoni, długo nie mogąc przyjść do słowa.

Gdy się Barciński przyodział, ujął go pod rękę i rzekł:

— Przyjacielu mój, dziwne się rzeczy plączą w życie moje, potrzebuję się zwierzyć, abym i sam uwierzył. Lękam się znowu by mi się słaba głowa nie pomięszała.

— Cóż to tam znowu takiego? — spytał stolnik niespokojnie — czy nie uchowaj Boże jaka nowelacja z drugiego świata.

— Jakbyś wiedział — rzekł cicho kasztelan. — ale to może być efekt podburzonej imaginacji tylko. Sądź... wczoraj wieczorem nierychło odprawiwszy modlitwy począłem usypiać. W pokoju zwyczajem moim paliła się tylko lampka przed obrazem N. Panny, oczy miałem przymrużone nawpół, gdy mi się jakby coś białego przed niemi przesunęło. Otwarłem powieki zupełnie i postrzegłem stojącą w środku pokoju Agnusię. Milczący i przelękły nie śmiałem się odezwać, gdy usłyszałem wyraźnie wymówione, jak szmer ciszy, jej słowa:

— Ostatni raz przychodzę abym cię uspokoiła, troski twe zbliżają się do końca Nietrwoż się, jeśli cię nowy cios dziś dotknie, ten będzie ostatni. Odetchniesz i będziesz szczęśliwym jeszcze. Nie opuszczaj biednej istoty.. nie trwoż się napróżno. Czystem sercem zwycięża się wszystko, a sprawiedliwość przychodzi po próbach.

Tak mówiąc coraz cichszym głosem, widmo się rozpłynęło i znikło. Siedziałem długo — mówił kasztelan — drżący, niepewny, oczekując więcej jeszcze, ale cisza panowała dokoła. Na modlitwie dotrwałem do dnia. Jaki nowy cios jeszcze a ostatni miał by mnie dotknąć, nie wiem i nie rozumiem, ale przyjmę go z rezygnacją.

W tejże prawie chwili dano znać o przybyciu Opoczyńskiego, który znając stosunki stolnika z gospodarzem, wszedł pospiesznie do mieszkania Barcińskiego.

Mimo wielkiej siły jaką miał nad sobą prawnik, twarz jego wydawała niepokój.

— Wiesz już pan cokolwiek? — spytał żywo kasztelana.

— Ja? nic a nic... czy się co stało?

— A stało się i nie dobrze się stało — rzekł Opoczyński — pani Achingerowa uciekła z domu..

— Jakto? Uciekła? Dokąd? Kiedy? — poczęli oba razem stolnik i kasztelan.

— Nikt nic nie wie, ale naturalnie Achinger przypisuje to panu i jego staraniu, przemocy i przekupstwu magnata. W dodatku uciekający zawsze zciąga na siebie podejrzenie winy.

Długie milczenie nastąpiło. Żeliga padł na krzesło.

— Skąd o tem wiecie? — spytał.

— Od mecenasa Bajkowskiego.

— Szczegóły?

— Żadnych nie mam; śladów zbiegłej nie odkryto, Achinger z tego bierze asumpt do jeszcze straszniejszego pozwu, w którym na czernidłach zbywać nie będzie. Wspomną w nim i przeszłość ową, którą pan odpokutowałeś nie będąc jej winnnym, i pokutę, w dziwnym przedstawiającą ją świetle... Nieprzyjaciele rodziny, ludzie nowych przekonań, demagogi i wolnomurarze, wszystko to przyczepi się do sprawy, zachacżą o Jezuitów, o wszystko co się da pociągnąć, skandal ogromnie wzrośnie. W osobie pańskiej ścigać będą wszystkich tych, których przekonania w jakikolwiek sposób przedstawiasz lub mógłbyś reprezentować. Rośnie to jak na drożdżach. Achinger cieszy się i ręce zaciera.

Kasztelan siedział przybity,.. nie mówił nic, nareszcie rzekł tylko:

— Stań się wola Twoja.

Ciężki to był dzień ze wszystkich względów dla biednego Żeligi, ale mimo to serce dźwigało brzemię, a czyste, mogło mu podołać.

Achinger i wszyscy ci co się do niego przyczepili, robiąc z prywatnej napaści tendencyjny proces, mogący przybrać znaczenie społeczne latali z nowiną, zacierali ręce. Z drugiej strony przyjaciele kasztelana zbiegali się co chwila dowiadywać, rozpytywać, radzić, nie mogąc pojąć stoickiej jego obojętności. Sprawa jeszcze nietknięta nabierała nadzwyczaj groźnej fizjognomji.

Król przysłał generała Komarzewskiego zaufanie z zapytaniem, czyliby nie mógł w czem kasztelanowi być użytecznym; odpowiedział, że niezmiernie jest wdzięczen N. panu, ale że czekać będzie wymiaru sprawiedliwości spokojnie.

Trzy dni upłynęło w oczekiwaniach, szeptach i tej trwodze, która poprzedza dotknięcie wszelkiego interesu tyczącego czci człowieka, mającego rodzinę okryć sromem. Opoczyński niemniej był zafrasowany od innych, ale spokojny przytomności nie tracił, tajemniczy był i milczący.

Czwartego dnia Bajkowski do niego przyjechał. Bystrem okiem zanim jeszcze wszedł zmierzył przeciwnika, na którego twarzy znalazł pocieszający wyraz niepokoju i usiadł, przybierając, jak na przyzwoitego człowieka należało, oblicze kondolencyjne zafrasowane.

— No, kochany kolego — rzekł wyciągając doń rękę, zbliżamy się tedy do fatalnego terminu, w którym się gra rozpocznie. Obowiązkiem moim było, mimo że mi sprawa ta jest smacznym ze wszech miar kąskiem, polem popisu, i walką z tak znakomitym jak wy zapaśnikiem, żebym jeszcze raz zrobił krok do zgody. Jesteśmy gotowi na wszelkie możliwe układy.

— Szanowny mecenasie — rzekł Opoczyński, — mam zupełne umocowanie do prowadzenia procesu, a wyraźny rozkaz nie przyjmowania żadnych układów.

— A! no w takim razie tem lepiej — ozwał się Bajkowski — będziemy się próbować. Sam los na nasze koło wodę prowadzi, kiedy i pani Achingerowa uciekła, to mi daje broń wielką.

— Obosieczny to oręż — rzekł Opoczyński, — dopóki pani Achingerowa niewiadomą jest z pobytu, póki przypuszczenie wam służy, że winna starała się ukryć przed mającą doścignąć jej sprawiedliwością, macie prawo się cieszyć... Ale przypuśćmy panie mecenasie, że nagle pani Achingerowa się zjawia i to w klasztorze, gotowa pod przysięgą odeprzeć wszystkie fałsze i potwarze wasze... Cóż w takim razie?

Opoczyński czynił to przypuszczenie wcale nie wiedząc co się stało z panią Achingerową, wprost tylko jako prawnik, który zwykł wszystkie drogi badać; ale Bajkowski go posądził, że coś wie, spojrzał mu bystro w oczy, nic z nich wyczytać nie potrafił, bo były mgliste i chłodne i trochę się uląkł.

— W takim razie — odpowiedział Bajkowski powoli — gra się równoważy... Czy w istocie to tak by było?

— Nie wiem — rzekł Opoczyński — ale to wiem, żeście wy podjęli się interesu nie dobrego; może on zjednać wam rozgłos, wsławić imię, ale zostawi w sumieniu ślad czarny. Mecenasie kochany, znam i ręczyć mogę za kasztelana, że to jest napaść niegodziwa na niego, prosty rozbój na gładkiej drodze. Bronicie człowieka bez czci i wiary, który obrony waszej wart nie jest.

— Kolego — rzekł Bajkowski — szanujcie mojego klienta, dotykacie mnie w nim.

— Jesteśmy sami — odezwał się Opoczyński — mówmy otwarcie, bracie, życie jest krótkie, poczciwe imię, które człowiek po śmierci zostawia, trwa dłużej nad nie!... Sława nie opłaca lekkości charakteru. Gdybym był na twem miejscu, ja sprawy bym się nie podjął.

— Kochany bracie — rzekł na to mecenas — i ja ci powiem, że życie krótkie, a sława i niesława króciej podobno nad nie na ziemi goszczą. Trzeba się pchać jak można, aby nam było nieco lepiej. Ja jestem doktor, jaką mi ranę przyniesie chory kuruję... Cóż więc ze zgodą? nic?...

— Ani mowy być o niej nie może, jedyna zgoda, którąbyśmy przyjęli, to, żeby klient potwarz starym obyczajem odszczekał pod ławą.

— Tak jesteście siebie pewni? — spytał Bajkowski.

— Najzupełniej.

— I środków obrony?

— Są przekonywujące i starczą nam.

— Na Boga, ojcze mój! — zakrzyknął pierwszy — gdybym był tchórz, tobym się tego mógł nastraszyć.

— Nie, kochany kolego, spokojnie dorzucił Opoczyński — nie, złe sprawy to mają do siebie, że ich dwudziestu czterema sposobami bronić można, gdy dobrej, jeśli się sama nie obroni, niepodobna inaczej ocalić, jak odwołaniem się do prawdy i cnoty, do sumienia sędziów.

— No, i nie zawadzi, gdy magnat ma kiesę nabitą... — uśmiechając się dodał mecenas. (C. d. n.)

Franciszek Karpiński i jego poezja.

napisał

Józef Tretiak.

(Dokończenie).

W przedmowie do psalmów, teologiczną nastrzępionej erudycją, wymienia Karpiński te psalmy Kochanowskiego, które z bardzo małemi zmianami wciągnął do psałterza, a mianowicie 8, 29, 41, 78, 90, 132 i 136, a następnie te, które weszły do psałterza w znacznie odmienionej postaci: 2, 5, 7, 11, 16, 27, 52, 62, 64, 65, 122, 123, 124, 125, 134, 139. Ale i w innych psalmach pożyczał Karpiński od Kochanowskiego całe wyrażenia, wiersze, a nawet strofy, jak np. w psalmie „Noli aemulari in malignantibus“ (36) i „Saepe expugnaverunt me a juventute mea“ (128) i innych. Wreszcie w tejże przedmowie objaśnia Karpiński, że blisko 30 psalmów pomiędzy setnym a ostatnim przetłumaczył do jego psałterza Franciszek Dyonizy Kniaźnin. Ponieważ po psalmie setnym jest jeszcze 50, trudno zatem wiedzieć dokładnie, które mianowicie psalmy nie należą do Karpińskiego, to tylko pewna, że ostatnich 50 psalmów nie różnią się ani tonem, ani językiem od stu pierwszych.

Wszystkie utwory, o których mówiliśmy dotąd, należą do liryki; po za liryką Karpiński jest zupełnie nieudolnym. Jego tragedja „Judyta“ jest wierszowaną deklamacją, nudną od początku do końca i tylko to za nią można powiedzieć, że nie było wówczas lepszych tragedyj w Polsce, i że wzory francuskie, na które się autor polski zapatrywał, grzeszyły także napuszystością języka i brakiem swobodnej akcji. Te same uwagi stosują się i do opery Alcesty, małego dramatu, osnutego na tle greckich mytów. O wiele lepszą jest komedja „Czynsz;“ jest tu istotny materjał na komedję, jakkolwiek nie ułożony należycie, jest w djalogu dużo naturalności, a nawet humoru, jak np. w rozmowach ekonoma z żoną. Prawda, że charakterystyka osób nie jest tak wyrazista jak u Zabłockiego, ale za to pod względem naturalności djalogu „Czynsz“ wyżej stoi od komedji Zabłockiego.

Co się tyczy innych pism prozą, to oprócz tych, których krótką ocenę daliśmy już w życiorysie poety, nie zasługują one na szczegółową obszerniejszą wzmiankę. Są to albo tłumaczenia (Ogrody Delille'a, Wiara, prawa i obyczaje Indjan), albo rozprawy moralne na tle klasycznem (Rozmowy Platona), albo wreszcie drobne powiastki bez żadnej wartości. W podróży do Krakowa naśladował Karpiński Krasickiego: „Wyjazd z Warszawy i przyjazd do Warszawy;“ u Krasickiego jest przynajmniej szczypta dowcipu, która okrasza te dwa listy i robi je znośnemi, u Karpińskiego nie ma i tej szczypty. Wyjątek stanowią pamiętniki poety, którym, jak wiemy, dał on tytuł: „Historja mego wieku i ludzi z którymi żyłem,“ a które dopiero po jego śmierci zostały wydane, i Mowa miana na rocznicę zwycięstwa Jana Sobieskiego pod Wiedniem.

*

Zdaje się, że do napisania pamiętników natchnął Karpińskiego przykład Russa, z którym nasz poeta pod względem charakteru miał wiele podobieństwa. Wprawdzie w pamiętniku swoim Karpiński nie zajmuje się wyłącznie przygodami własnego życia, jak to czyni Rousseau w Confessions, ale opowiada zarazem koleje, przez które wówczas naród przechodził, atoli w niektórych ustępach, w owem skrzętnem wyliczaniu błędów młodości, w spowiedzi jaką czyni przy końcu, czuć wyraźnie wpływ genewskiego filozofa. Ze wszystkich prozaicznych utworów Karpińskiego jest to bez wątpienia najlepszy i najoryginalniejszy utwór. Historyk znajdzie tu dla siebie nie mało szczegółów charakteryzujących epokę, psycholog dużo ciekawych wskazówek. Język pamiętników, pomimo że oszpecony nieraz francuską składnią, posiada wielką plastykę i grację. Mowa na rocznicę zwycięstwa Sobieskiego napisana na prośbę Prymasa (1783), podaje dość jasno i treściwie przebieg wypadków pod Wiedniem.

Zestawiwszy teraz to wszystko, cośmy powiedzieli o pismach Karpińskiego, przychodzimy do następującego wniosku: Karpiński jest wyłącznie lirykiem, i gdziekolwiek kusi się o co innego, jak o czysty liryzm, tam prawie wszędzie jest nicdołężnym i ckliwie sentencjonalnym. Ale w liryce nie wszędzie jest równym sobie: wszystkie sielanki i pieśni pisane pod bezpośrednim wpływem wszechwładnie panującej wówczas francuskiej poezji odznaczają się wymuszonością, czułostkowością, brakiem prawdziwego uczucia. Natomiast poezje, przy pisaniu których poeta albo nie wiedział, albo zapomniał o wzorach, i tylko własnego radził się uczucia, a mianowicie pierwsza sielanka do Justyny, Powrót z Warszawy, kilka pieśni miłosnych, i znaczna część pieśni religijnych, są utworami trwałej wartości poetyckiej, i stanowią wiązankę skromnego ale wonnego i świeżego kwiecia wśród barwnych, świetnych, ale sztucznych kwiatów współczesnej poezji.

W istocie porównywając Karpińskiego z innymi współczesnymi poetami, widzimy, że zajmuje on zupełnie wyjątkowe stanowisko, przynajmniej w owych wyborowych utworach. Rodzajem talentu najwięcej zbliża się do niego Kniaźnin, ale liryzm Kniaźnina jest wszędzie czczy i ckliwy, nigdy się nie podnosi do prostoty i prawdy, nigdy nie nabiera swobodnego polotu*). Naruszewicz prawie we wszystkich swoich poezjach, z wyjątkiem satyr jest nadętym, nieznośnym gadułą, przekonanym, że poezja zasadza się na napuszonej deklamacji i na kunsztownych wyrażeniach. Krasicki celuje rozumem, spokojem, umiejętnym układem treści, nad którą panuje, ową swobodą artystyczną, która jest następstwem poczucia istotnej potęgi twórczej w sobie. Trembecki jest mistrzem w plastyce i słowem rzeźbi jak dłutem, a robi to z genjalną fantazją. Węgierski nareszcie olśniewa dowcipem. Nic z tego nie ma u Karpińskiego: ani zmysłu krytycznego, ani twórczej fantazji, ani plastyki, ani dowcipu, ale jest za to owo tchnienie poetyczne, którego tamci nie mają, a bez którego ich poezja jest jak świetny kwiat bez woni, jak wspaniały widok bez perspektywy, jak piękna twarz bez wyrazu.

Trudna to rzecz rozłożyć na pierwiastki prawdziwą poezję, jest w każdym razie rzeczą pewną, że na każdy utwor doskonały głowa i serce składać się muszą. Głowa przynosi trzeźwą fantazję, zdolność kombinowania i organizowania, bez której nie można porządnie złożyć żadnego większego utworu; serce przynosi strumień ożywczy, który wlewa życie w martwe kształty, ów pierwiastek liryczny, bez którego żaden rodzaj poezji zupełnie obyć się nie może. Najmniej go wymaga satyra bajka, epigramat, to też tylko te trzy rodzaje mogły kwitnąć w poezji czasów stanisławowskich, która była dziełem rozumu, dowcipu, poniekąd fantazji, ale nie uczucia. Poezja Krasickiego, Trembeckiego, Naruszewicza, Węgierskiego, jest poezją głowy — poezja Karpińskiego w wybranych przezemnie utworach płynie tylko z uczucia, i słusznie też nazwano tego ostatniego poetą serca. On jeden w wyrażaniu uczuć umiał niekiedy zarzucić ton deklamacyjny i stawiać na papierze słowa prosto, z serca idące.

Jeżeli się teraz zwrócimy do pierwszego pytania, o ile dawniejsza popularność poety była zasłużoną, to łatwo nam będzie teraz na to pytanie odpowiedzieć. Prawda, że jak widzieliśmy, wypływała ona po części z fałszywego smaku panującego w warstwach stanowiących o sławie i modzie, ale niezaprzeczenie polegała także na prawdziwych zaletach poety, które starałem się wykazać.

Zapewne, jeżeli porównamy Karpińskiego ze świetnemi gwiazdami, które w drugiej ćwierci dziewiętnastego wieku zabłysły na niebie naszej poezji, to wyda się on bardzo nikłą iskierką, ale bezwzględne takie porównanie nie prowadzi do celu, gdy chodzi o zbadanie zasług poety. I Mickiewicz bezwątpienia nie byłby Mickiewiczem, gdyby żył w ośmnastym wieku i wychował się w jezuickich szkołach, a nie w Uniwersytecie wileńskim. Ażeby poetę należycie ocenić, potrzeba go brać na tle jego czasu, porównać ze współczesnymi i badać, o ile bardziej od innych odpowiadał współczesnym potrzebom. Otóż jeśli na ten względ ostatni zwrócimy uwagę, to znajdziemy, sądzę, jeszcze jedną tajemnicę popularności Karpińskiego. Ukrywała się ona w politycznym stanie narodu. Naród przeszedłszy straszliwe koleje politycznego upadku, przygnębiony niewolą, odsunięty od życia publicznego, zaczął szukać osłody w poezji. Przedtem była dla niego zabawką, teraz miała być lekarstwem na troski. Ale gdzież miał znaleść taką poezję? Czy w świetnych ale chłodnych rymach Krasickich, Trębeckich i Naruszewiczów? W narodzie, który przeszedł wielkie nieszczęścia, równie jak w pojedyńczym człowieku obudza się nastrój liryczny i religijny. Nie ma on tego spokoju, tej raczej obojętności, aby go mogły bawić same piękne kształty i świetne barwy poezji. Otóż ani u pomienionego szambelana, ani u dwóch biskupów nie ma źdźbła liryzmu i religijności. Tylko Karpiński odpowiadał temu usposobieniu narodu, tylko Karpiński był lirykiem i religijnym, a choć utwory jego po większej części dalekiemi były od doskonałości, choć nieraz fałszywy sentymentalizm zastępował w nich szczere uczucie, to przecież stał się on ulubieńcem całego narodu, bo ostatecznie było w nim więcej prostoty, serca i naiwności, niż u wszystkich innych współczesnych poetów, razem wziętych.

---

*) Woronicza tu nie wciągam, bo działalność jego poetycka przypada głównie na czasy postanisławowskie. Zresztą Woronicz nie wiele zostawił utworów poetycznych, a i te więcej się odznaczają dobremi chęciami, patrjotycznym kierunkiem, wreszcie czystością języka, jak poetyckim polotem.

STUDJA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO.

Sztuka starorzymska.

(*Ciąg dalszy*).

Ostatnią epoką budownictwa pogańskiego w Rzymie jest epoka Sewerów, zajmująca trzeci wiek po Chrystusie.

Charakter posągonośnych kolumn zmienił się teraz; stawiano poprostu, bardzo wysokie i wiotkie, czasem żłobkowane, a czasem nieżłobkowane kolumny o głowicach koryntckich albo rzymskich. Na głownicy takiej nie strop spoczywał, tylko posąg. Nie było tu pola dla mnogich Trajanowych płaskorzeźb, ale wejrzenie było lotniejsze i piękniejsze. Takie kolumny stały czasem na środku jakiego placu, same, bez posągów. Wtedy tylko granat kamienny zakończał kolumnę od góry. Kolumny te pozbawione stropu, wydają się zbłąkanemi próżniakami pozbawionemi celu — ale cieszą oko bogatą głowicą.

I bramy trymfalne stały się rozłożystemi. Obok łuku głównego stanęło dwoje łuków mniejszych u boków, a i nowych parę kolumn przybyło. Łuk stał się bogatszym ale ciężkim. Na tem zgasło budownictwo rzymskie. Patrjotyzm, który był jego duchem ożywczem usnął. Istniało jeszcze cesarstwo, nie było już narodu rzymskiego. Budownictwo owo krągłe i symboliczne musiało ustąpić duchownej sztuce chrześćjańskiej. Łuk, kopuła, sklepienie, były znane już i dawniejszym narodom. Nie używano ich jednak śmiało, nieużywano do budowli pięknych. Grek który nie wymagał od dzieła sztuki, by mu co symbolicznie przypominało, Grek, który nawet praktyczne względy na drugi plan usuwał, a któremu tylko o bezpośrednio piękne wrażenie chodziło, przekładał nad linje okrągłe, jaśniejsze, górniejsze i bardziej stanowcze linje proste. Rzymianinowi nie chodziło już o samo tylko zmysłowe wrażenie. Miał na myśli i praktyczne i symboliczne względy.

U niego znano już zimę, jakkolwiek łagodną Chodziło tedy o gmachy, któreby mogły mnogie tłumy w niepogodę pomieścić. I oto praktyczny wzgląd, który przemawiał za linją okrągłą, za sklepieniem i kopułą. Ale symboliczne ich znaczenie było przyczyną ważniejszą ich panowania. Linja okrągła znamionowała, jakeśmy to już mówili, wieczne trwanie Romy. Szereg kołujących łuków przypominał pokolenia owe, które przemijały, i nikły, choć Roma trwała. Gmach rzymski czarował Rzymianina nie tem, co mu bezpośrednio pokazywał, ale tem co przypominał: wspomnieniem ojczystej wiekuistości. Rzymianin patrząc na swoje dzieło pamiętał jak sam był małym w obec Romy, jak winien się w każdej chwili poświęcić dla ojczyzny.

Budynek rzymski był murowanem kazaniem. To kazanie miało niebawem ton zmienić. Nie miało już prawić o ziemskiej, jedno o niebieskiej ojczyźnie, i miało powołać do życia budownictwo chrześćjańskie.

II.

Rzeźbiarstwo rzymskie nie wyparło się pokrewieństwa z budownictwem. Rzeźbiarstwo owo miało cechę wyłącznie patrjotyczną — a nie mniej i ornamentacyjną. Nie trzeba wielkiej bystrości by się przekonać, że ten sam naród i posągi i gmachy tworzył, że ta sama myśl rozmaitym artystom przewodniczyła. Chodziło przedewszyst-

kiem o uświetnienie ojczyzny. Gdy wzniesiono gmach dla użytku narodu rzymskiego, pragniono by ten gmach był tak świetnym jak tego wymagało imię Romy. A niebyło kosztowniejszej ozdoby nad misterne dzieła dłuta — zapełniono tedy gmach posągami, popiersiami i płaskorzeźbami. Ale i treść, czyli raczej przedmiot rzeźb owych był podyktowany z góry przez owo samo uczycie patrjotyzmu. Pragniono tylko odtworzyć w marmurze, spiżu, bazalcie, i innym kosztowniejszym jeszcze materjale, postacie dziejowe i sceny obrzędowe Romy. Nie pytano się, czy rysy twarzy, czy ugrupowane postaci miłe czy nie miłe wzbudzą wrażenie, pytano się, czy obraz dany uwieczni dziejową prawdę. Nie chodziło o wywołanie bezpośrednio miłego estetycznego wrażenia, chodziło tylko o wzbudzenie wspomnień — w rzeźbie tak samo jak w budownictwie.

Przypatrzmy się lepiej najpierw portretowi, a zrozumiemy to, co powiedziano powyżej.

Portret rzymski różni się od portretu nowożytnego tem najpierw, że rzeźbiony, a nie malowany. Dziś portret rzeźbiony należy do wyjątków — a choć wiele malowideł rzymskich posiadamy, niema między niemi ani jednego portretu. Przyczyna leży na dłoni. Dziś malujemy portrety na to, aby niemi pomieszkania zdobić, a obraz najlepiej odpowiada temu celowi. Chodzi nam o to, aby małemu kółku przypominać rysy drogiej osoby, aby uwiecznić jej ruchy, jej strój, jej płeć, jej wejrzenie, a obraz tylko może to wszystko uskutecznić. Posąg za to trwalszy, i lepiej miejsce publiczne zdobi. On niezawodniej potomstwu rysy sławnej osoby przekaże. Nie powie nic o zwyczajnem wejrzeniu, o codziennej podstawie, o ulubionem otoczeniu, ale zachowa postać pamięci wieków.

Najpospolitszą w Rzymie formą posągowych portretów: popiersia. Wspomniemy ich kilka: Cezara, Tyberjusza, Kaligulę, Marka Antoniego, a poznamy podług jakiego wzoru owe popiersia tworzono.

Cezar to największy mąż pośród Rzymian, wstrzymał prawicą na długie wieki nawałę barbarzyńców północnych, wprzągł ich do własnego rydwanu, i za ich pomocą przemienił upadającą i niemożliwą arystokratyczną Rzeczpospolitą na demokratyczne cesarstwo. Nie tu miejsce sądzić Cezara, ale to niezawodna, że był mężem wielkiej woli i wielkiego rozumu.

Widzimy go na wielu popiersiach. Żylasta chuda, pomarszczona szyja, dźwiga niewielką głowę sokoła. Czoło wyniośle cofa się z lekka ode brwi i przechodzi w łysinę, nos orli i nadto duży a u dołu prosty, oczy nie nadto wielkie, głęboko osadzone, usta i dół twarzy kształtne, ale usta zacięte, a podbródek kwadratowy; — a na całej twarzy rój muszkółów i żył drgających: oto Cezar.

Nauczono się wykonania od Greków, i głowa żyje — ale głowa nie grecka wcale. Nie jest to ani ideał ludzki, ani typ Rzymianina. Takie głowy rzadkie i bardzo rzadkie. Kto wie kim był Cezar, powie patrząc na tę głowę, takim był pewno w istocie. Kto by tę głowę ujrzał nie wiedząc kogo przedstawia, rzekłby: „To nie zwykła głowa“. Nie wątpić, że życie nakłada swoje piętno na rysy. A życie pełne trudu i walki wyrabia mnótwo muszkółów na czole, wydrąża policzki i powieki, a zamyka usta wysileniem woli. Duch wyższy często wyniszczy ciało tak, że każda żyła wygląda z pod skóry. To wszystko znać na tem popiersiu, i to wszystko uszlachetnia rysy, ni brzydkie ni piękne.

Zresztą popiersie o niczem nie prawi. Nic z niego nie wiemy o obyczajach Cezara. Domyślamy się tylko jego charakteru. I historyk rzymski nie inaczej byłby postąpił. Niebył by prawił o codziennym człowieku, byłby tylko opisał niezmużonego wodza i męża stanu. Tego to nam przedstawia popiersie, takim jakim był wtedy gdy w urzędowym występował charakterze. Jeśli to popiersie piękne, to dla tego tylko, że przypomina boje, trudy i zwycięstwa — i wielką siłę duszy.

Ale nie o to chodziło rzeźbiarzowi rzymskiemu. Chodziło mu o to, by oddać urzędowe wejrzenie panującego. Chceszli się przekonać o prawdzie słów tych, więc pójdź do Villa Borghese w Rzymie, i spojrzyj na perłę owego zbioru książęcego, na popiersie Tyberjusza — co tu także w Rzymie panował.

Jakżeż tu wszystko inne jak u Cezara. Czoło niskie ale szerokie, i bujny włos na czoło zaczesany. Oczy także zapadłe, ale z lekka przymknięte, nos cienki prosty, z lekka zwisły, szpiczasty. I tu są zmarszczki na twarzy, ale zmarszczki długie spowodowane starością. Widać, że ten człowiek był niegdyś lepszej tuszy, ale teraz skóra zwiędła fałduje się w zapadłe rysy.

Usta bezzębne widocznie a uśmiechnięte z lekka, jakgdyby ten człowiek sobie kpił. Tylko bródka szpiczasta ogolona wystaje, a krótka szyja zgięta i pofałdowana. I tu ani śladu greckiej piękności. Wiek i choroba pozostawiły swoje piętno na owym człowieku, i patrząc na niego wiesz, że tak ktoś wyglądał niegdyś, i że go odportretowano wiernie, dokładnie, doskonale. Rzymianie wychowani przez Greków znali się na cienkiej doskonałości dłuta, i na misternem schwytaniu natury. A nie poprzestawali na żądaniu odtworzenia pozorów życia — wymagali by rzeźbiarz dokładnie, akuratnie tego lub owego człowieka oddał — ze wszystkiem — ze zmarszczkami i brodawkami, tak jak wyszedł z rąk natury. Żądali doskonałego realizmu, i cieszyli się zręcznością dowiedzioną w kopiowaniu natury.

Po głowie tego Tyberjusza widać, że to człowiek zdolny — niewierzący cnocie ludzkiej, a trochę znużony życiem. Zresztą i tu posąg bliższego nic nie powie. Nie widzimy rąk, nie widzimy postawy, nie widzimy stroju, a głowa tak wygląda podczas urzędowych występów.

Kaligula, Tyberjusza następca, może najpiękniejsze posiada popiersie w Kapitolu w Rzymie. Cezar i Tyberiusz starannie ogoleni, Kaligula także niema porostu, ale jego nikt nie golił. Ma lat kilkanaście, i jest ślicznym chłopcem o greckich prawie rysach. Tylko usta zamknięte w niepokoju, tylko oko gdzieś w bok skierowane, niby błędne. Jest stanowczo wyraz zuchwały, niedobry na tej twarzy, wyraz nieokiełzanego młodzika, co w zasady już dawno nie wierzy. Aż przykro patrzyć w oczy Kaliguli. Jest tu piękno fizyczne, o które Rzymianin niedbał gdzie indziej. Niema ani woli ani rozumu. Więc wola i rozum Cezara i Tyberiusza dla tego rysują się na twarzach z marmuru, bo widać je było na twarzach żywych. Tu rzeźbiarz oddał złość i głupotę — równie wiernie i doskonale — bo złość tylko i zuchwała głupota znamionowały pierwowzór. (C. d. n.)

Z przeszłości cechów w Polsce

przez

Franciszka Ksawerego Martynowskiego.

(Ciąg dalszy).

Dla malarzy np. snycerzy i szklarzy krakowskich Zygmunt August i Stefan Batory potwierdzają ustawy cechowe z XV i dawniejszych stuleci, w których powiedziano, że „kto chce zostać mistrzem czyli to jako malarz, szklarz lub goldszleger, ten powinien się przedewszystkiem w cechu opowiedzieć, także dwa lata naprzód u jakiego majstra pracować, a każdy ma sporządzić majstersztyk, jako to: Obraz Najświętszej Marji Panny z Dzieciątkiem Jezus, powtóre Obraz Zbawiciela świata, po trzecie ś. Jerzego na koniu. Które to sztuki majstrowie oglądać mają, dla przekonania się, czyli on w przyszłości może tu zostać mistrzem i ich rzemiosło sobie obrać. Wszakże nie należy w tym względzie zbyt wiele wymagać od biednych towarzyszy“. (E. bar. Rastawiecki. Słownik malarzy Pols. T. I. str. 298, 299.) Podobnie i dla cechu malarzy poznańskich Stefan Batory daje ustawę r. 1579, w której między innemi postanowiono, iż czeladnik przed wyzwoleniem się obowiązany jest wymalować trzy obrazy, z których pierwszy Najświętszą Pannę, drugi ukrzyżowanego Chrystusa Pana, a trzeci św. Jerzego na koniu wystawiać mają, a starsi cechowi winni sumiennie orzec o wartości tych prac i kwalifikacji kandydata. (E. Raczyński. Wspomnienia Wielkopolski. T. II str. 164.)

Nic dziwnego, że po takich próbach wyrabiał się rzemieślnik, który w chwili otwierania warstatu stał na wysokości rzemiosła. Nie były mu obce wszelkie nowe wynalazki i ulepszenia, wtajemniczył się dobrze we wszystkie właściwości i ducha panującej sztuki — stąd też każdy jego utwór nosi na sobie wszystkie warunki utylitaryzmu i jaśnieje głębokiem poczuciem piękna. Rzemieślnik średniowieczny polski, czy który inny pojmował doskonale, że wyrób jego powinien się zalecać dobrocią wewnętrzną i przymiotami piękna, czuł on wybornie, że tylko przez uwzględnienie owych przymiotów uczyni zadość warunkom swojego zadania. Wskutek przeto owego przeświadczenia wewnętrznego, dalekim on był od dzisiejszych usposobień naszych przemysłowców i rzemieślników, którym jedynie o to chodzi, aby ich produkta wystarczyły na dziś nie pytając o jutro.

Dążenie to zresztą, znane nam doskonale z zabytków średniowiecznych, wyjaśniają w obec czasów dzisiejszych i same ustawy cechowe, pilnujące dobroci wyrobów rzemieślniczych. Oto parę przykładów. Szewcy Kobylińscy uchwalają, iż „Cechmistrze będą co dwie niedziele dwóch braci słać do mistrzów oglądywać, jak warownie robią, jeśli nie obciążają drogością, a gdyby niewarowną robotę u którego znaleźli, mają wziąć onę do bractwa i tam za uznaniem wszystkich braci, onego brata skazać“. (J. Łukaszewicz. Opis miast T. I. str. 124). Stefan Batory znowu potwierdzając przywileje i ustawy malarzy, szklarzy i rzeźbiarzy krakowskich z XV wieku, postanawia, że „którykolwiek szklarz na szkle maluje a w ogniu szkła nie wypali, tak, iżby dłużej trzymało farbę, ten ma dać sześć groszy na zbroję, ile razy tego się dopuści. A gdyby się który tego trzykroć dopuścił, o takowym razie rajcom donieść należy. Żaden szklarz nie ma brać prostego szkła za szkło weneckie, pod winą funta wosku w razie dopusz-

czania się tego". (E. bar. Rastawiecki. Słownik Malarzy Polskich T. I. str, 305—306).

W tymże duchu ustanawiają połączone cechy miasta Kalisza aby „żaden z braci nie śmiał na żaden jarmark jechać, aż pierwej starsi robotę oglądają dla dobrego i porządnego zrobienia, pod winą sześciu funtów wosku. A jeżeli by co takowego nieporządnie było zrobione, tedy od każdej sztuki winny ma dać grosz jeden toż i tu i doma (L. Hubert. Pamiętniki T. I. str. 276). Ciekawi jesteśmy, coby na to powiedziało wielu z dzisiejszych naszych spekulantów rzemieślniczych, którym jedynie o to chodzi, aby złe swoje wyroby udać za dobre, bez żadnej obawy za popełniane na kupującym oszustwo.

Jak dalece średnie wieki uważały na dobroć wyrobów rzemieślniczych, oprócz powyższych przykładów przekonywa nas i ta okoliczność, że we Lwowie r. 1522 wystawiono pręgierz, podówczas żórawiem zwany, a później mianowany orczykiem, na którym zawieszano piekarzy, „jeśli by chleb nie podług wartości i złego gatunku wypiekali". (Zubrzycki, Kronika miasta Lwowa str. 145).

Podobnych przykładów moglibyśmy dużo przytoczyć z czasów świetnej przeszłości naszych rzemieślników, — ale i te niech wystarczą na poparcie twierdzenia, że wielu bardzo przymiotów powinnibyśmy się uczyć od minionych i tak często lekceważonych stuleci. Przykłady te pokazują nam najdosadniej, że dawni rzemieślnicy lepiej pojmowali swoją godność obywatelską i zadanie swoje, niż się to dzisiaj dzieje, z małymi bardzo wyjątkami. Śmiało też możemy powtórzyć za Wawrzyńcem Surowieckim (O upadku miast i przemysłu w Polsce), że ochronione dotąd z dawnych tych epok po rozmaitych skarbcach, zbiorach starożytności i w gmachach, dzieła noszące ślady ówczesnych cieślów, mularzów, stolarzów, ślusarzów, kowalów, szklarzów, złotników, zbrojarzów, rzeźbiarzów, malarzów, jubilerów, haftarzów, szwaczek i. t. d. jak są dowodem stanu i stopnia doskonałości wszystkich tych gatunków przemysłu, tak stąd, że się wszędzie i po najlichszych zakątkach kraju znajdują, wnosić można, że powszechnie były już w nim rozkrzewione. W miastach celniejszych starodawne katedry, w najlichszych mieścinach odwieczne kollegiaty, fary, klasztory, domy publiczne, wszędzie w tej mierze potrafią zaspokoić ciekawość znających się na rzeczy. Tam obok dzieł dowodzących jędrnych rąk pracownika, widać zawsze poważny, a niekiedy wysoko wygórowany smak z doskonałością w budowie, rzeźbie, pędzlu i w sztuce złocenia; tam w odwiecznych naczyniach, sprzętach, ubiorach i portretach, znajdują się wzory wytworności, jakie by dziś z największą ledwie trudnością mogły być naśladowane.

Ponieważ dobroć i wdzięk artystyczny, właściwy charakterowi ówczesnej sztuki, zalecały wyroby naszych rzemieślników, stąd nie potrzebowaliśmy tylu obcych przedmiotów codziennego użytku, jak się to dzieje obecnie. Każde miasto i mieścina polska posiadała wiele warsztatów rzemieślniczych, jak to wymownie stwierdzają liczne nadania, przywileje i podatkowe księgi przeszłości. To też nietylko, że produkcja polskich rzemieślników w XIV, XV i XVI stuleciu wystarczała na potrzeby krajowe, ale nadto wiele wyrobów naszych zyskało pokup w pośród ościennych narodów. Buty n. p. krakowskie były poszukiwane w średnich wiekach nawet u wybrednych synów Albionu w Londynie — a kupcy polscy wywozili wyroby krajowego przemysłu do flandryjskich i innych portów zachodniej Europy, podczas gdy dzisiaj nierzetelny Wiedeń naszą prowincję tandetnemi wyrobami swojego przemysłu zalewa.

(C d. n.)

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom trzeci.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ IV.

Pani Conroy otrzymuje niespodziewane odwiedziny.

Upał nie ograniczał się na jednem tylko San Francisco. Zatoka San Gablo połyskiwała na słońcu, a żółte fale rzek San Joachim i Sacramento były mętne i senne. Żaden wietrzyk nie poruszał dzikiego owsa, rosnącego na zachodniej pochyłości wzgórza Contra-Costo; cicho i równo wznosił się dym z osmalonych lasów na wchodniej stronie wzgórza; wielkie pola pszenicy w dolinach zalegała kurzawa i popiół.

Słup czerwonawej kurzawy ciągnął się i za powozem kursującym między Wingdam i One horse gulch; a podróżni rzucali tęskne spojrzenia na Sierry.

Gorąco było w One horse gulch, na rozpalonych ławach piaszczystych. Było nawet gorąco na Conroy-Hill, pod cieniem zielonych jodeł i pod głębokiemi werandami wiejskiego domu Conroy.

Być może iż gorąco to było powodem, że pani Conroy wyniosła się z dusznych ścian swego domu, i szukała schronienia pomiędzy aromatycznemi jodłami po drugiej stronie wzgórza. Obawiam się jednak, że przyczyny tego poczęści należy szukać w tajemniczym bilecie, który poprzedniego wieczora dostał się do niej kradzionym sposobem, a który teraz raz jeszcze odczytywała, usiadłszy na pniu wywróconej jodły.

Wyglądała zdrowiej; długa wdół spadająca suknia, jaką nosiła według mody ulubionej przez kobiety małego wzrostu, bufowała się dokoła jej talii, która bodaj czy była tak wiotką jak w czasach gdy po raz pierwszy po nieszczęśliwym wypadku w kanonie Gabryel trzymał ją w swych objęciach.

Wydawała się więcej nieco stęsknioną.

Trzymała otwartą kartkę w cienkich swych przejrzysto białych palcach i kilkakrotnie spoglądała na nią ze słabym uśmiechem. Kartka zawierała następne wyrazy:

„O godzinie dziesiątej będę czekać na panią na pagórku pod wielką jodłą. Pani nie odmówi mi schadzki, jeżeli rozumie swój własny interes. Uprzedzam panią: miej się na ostrożności! Nie mam żadnych względów, gdyż jestem obrażony! „Wiktor."

Pani Conroy, zawsze uśmiechnięta, złożyła kartkę i ukryła w kieszeni. Potem usiadła czekając cierpliwie, z rękami złożonemi na kolanach. Potem spojrzała na zegarek.

Upłynęło pięć minut po wyznaczonej godzinie. W ciemnym drzemiącym lesie nie było słychać żadnego głosu, oprócz krakania wrony. Wiewiórka szybko przeskakiwała po jodłach, a gdy wesołe zwierzątko dostrzegło rozpuszczony parasol, odskoczyło na stronę. Potem ukazał się zając i doznał bicia serca, jakiego, o ile sądził, nigdy w życiu nie doświadczył.

A potem dał się słyszeć lekki szmer w gęstwinie, jak gdyby kto nią przechodził; pani Conroy wzięła swój parasol, ocieniła nim zimne promienie swych siwych oczu i spokojnie poprawiła się na miejscu.

Jakaś postać wstępowała powolnym krokiem na wzgórze. Gdy znalazła się o kilkadziesiąt stóp odległości, pani Conroy przekonała się, że to nie był Wiktor. Gdy zaś jeszcze więcej przybliżyła się, pani Conroy nagle zerwała się z wybladłą jak kreda twarzą i wykrzyknikiem na ustach. Był to hiszpański tłumacz z ulicy Pacific. Przez chwilę stali oboje, wpatrując się jedno w drugiego, wstrzymawszy oddech i w milczeniu.

— Devarges! zawołała pani Conroy głosem zaledwie dosłyszanym, wielki Boże!

Nieznajomy gorzko się uśmiechnął.

— Tak jest! Devarges! odrzekł — człowiek z którym pani uciekłaś... Devarges zdrajca! Devarges, który oszukał męża pani. Popatrz pani na mnie!... Pani mnie znasz... Henryk Devarges! brat jej męża!.. jej wspólnik.. jej kochanek... jej głupiec, jej osioł!

— Cicho! rzekła błagalnym głosem, wodząc wzrokiem dokoła—na miłość boską, cicho!

— A kto pani jesteś? zaczął znowu, nie zważając na nią, którą madame Devarges jest pani teraz.. Albo może przybrałaś nazwisko tego młodego błazna oficera, dla którego uciekłaś odemnie, i może nawet wyszłaś za niego zamąż? Albo może nie przyjął on takiego uniewinnienia twojej przewrotności?... Albo może jesteś żoną i wspólwinną tego słabogłowego Conroy? Jakiem nazwiskiem mam panią nazywać? Mów pani prędko! O! wiele miałbym pani do powiedzenia, ale chcę być grzecznym, madame; powiedz mi pani z kim mam przyjemność mówić!?

Pomimo zawziętości, jaką nieznajomy widocznie był przejęty, było coś litość wzbudzającego i śmiesznego w jego staroświeckim kostiumie, farbowanych włosach, fałszywych zębach, wyszarzanym surducie i cienkich nóżkach, tak że kobieta rumieniła się nie wobec zarzutów, lecz że ten człowiek był jej wspólnikiem.

— Cicho, rzekła, nazwij mię swoją przyjaciółką, zawsze byłam twoją przyjaciółką, Henryku! Nazywaj mnie jak chcesz; tylko pozwól mi odejść stąd. Na miłość boską! W innym czasie i miejscu chętnie cię wysłucham!

I powoli pociągnęła go z miejsca schadzki do napół rozwalonego domku. Tu przynajmniej była pewną, że Wiktor nie przeszkodzi.

— Jak się tu dostałeś? jak dowiedziałeś się co się ze mną stało? gdzieś żył przez te długie lata? zapytała pospiesznie.

W ostatnich kilku chwilach odzyskała większą część niepospolitej siły, jaką okazywała wobec mężczyzn.

Nieznajomy zawahał się przez chwilę, a potem odpowiedział głosem, w którym dźwięczało więcej niesmaku aniżeli cierpkości.

— Przybyłem tu przed sześciu laty, jako człowiek złamany, zrujnowany i wyśmiany. Nie miałem żadnej ambicji, jak tylko by się ukrywać przed wszystkimi, którzy mnie znali... przed tym bratem, któremu ukradłem żonę, którego domowe szczęście zniszczyłem... przed tobą... przed tobą, Julio... i przed twoim ostatnim kochankiem... nawet przed wspomnieniem o podwójnej twej zdradzie.

Przy tych słowach podniósł głos, ale przy-

wołany został do umiarkowania śmiałym wzrokiem i postawą stojącej przed nim kobiety.

— Gdyś mię opuściła w Saint Louis, — ciągnął dalej, — nie pozostawało mi do wyboru, jak tylko śmierć, lub wygnanie. Do Szwajcarji powracać nie mogłem, nie podobna mi było żyć pod cieniem mego występku i gorzkiej za niego kary. Przybyłem tu. Moje wychowanie, znajomość krajowego języka, znakomicie przyszły mi w pomoc. Mógłbym, stać się człowiekiem bogatym, mogłem mieć wpływy, wielkie wpływy; ale zdolności moich używałem tylko dla zadowolenia potrzeb życia, i ażeby przy pracy zapomnieć o nędzy i mękach. Stałem się pomocnikiem biurowym w dzień, graczem w nocy. Zawsze jednak pozostawałem gentlemanem. Ludzie poczytali mnie za warjata, nazwali entuzjastą, marzycielem, ale nauczyli się szanować. Chociaż byłem nikczemnym zdrajcą, nikt nie powątpiewał o mojej uczciwości i nie zawahałby się prawość moją wystawić na próbę. Ale ba! co to może znaczyć w oczach pani!

W słusznem rozżaleniu znowu odwróciłby się od niej; ale właśnie gdy miał to zrobić spotkał się z jej wzrokiem i dostrzegł w nim jeżeli nie sympatję, to przynajmniej pewien podziw — co go znowu do niej przykuło.

— Udało mi się,—ciągnął dalej,—zapanować nad moją rozpaczą, Juljo, byłem, albo przynajmniej sądzę że byłem na drodze zapomnienia o moich fałszywych krokach, nawet zapomnienia o tobie, gdy doszła mię wiadomość o śmierci mego brata... gdym się dowiedział, że umarł z głodu! Posłuchaj Juljo! Pewnego dnia dostał mi się do rąk dokument do przetłumaczenia, który wykrywał straszliwą śmierć twego męża... mego brata!... Czy słyszysz, Juljo, czy słyszysz? z głodu, nędznie z głodu on umarł!... Przez wstyd i hańbę wygnany z własnego domu, starał się, zwątpiwszy o wszystkiem, ukryć się, tak jak i ja to zrobiłem... przedsięwziął trudne i niebezpieczne życie wędrowca, wychodźcy... on, człowiek delikatny, wykształcony, człowiek uczony, wspólnie z nieokrzesanym pospólstwem, musiał podzielać nędzne wysilenia, pospolite cierpienia i trudy i umarł, nieznany i zapomniany.

— Umarł jak żył! — zawołała pani Conroy tonem namiętnym, — jako zdrajca i obłudnik; umarł idąc za losem swej kochanki, pospolitego wychowania wiejskiej dziewki, której przy śmierci przekazał swój majątek... tej dziewce... tej Gracji Conroy. Dzięki Bogu, posiadam dokument!... To!... co to było?...

Czy spadła gałązka, czy jakie zwierzątko przebiegło w gęstwinie? Milczenie śmierci opanowało obu aktorów tej sceny. Tak byli otoczeni samotnością i milczeniem, jak gdyby byli pierwszemi ludźmi.

— Nie — mówiła dalej tym samym gwałtownym tonem, — była to stara historja... historja oszukaństwa i zdrady, ona to nas zbliżyła, zrobiła cię moim przyjacielem, i sympatję jaką ku sobie nawzajem czuliśmy, przeistoczyła w niebezpieczną namiętność! Tyś cierpiał. No, i ja cierpiałam. Teraz kwita!

Henryk Devarges w milczeniu spojrzał na nią. Głos jej drżał, łzy stanęły w oczach. Przybył on tu z zupełnem przeświadczeniem o podwójnej zdradzie, jakiej dopuściła się na swym mężu i na nim. Ona nie wyparła się tego. Przybył tu by jej wyrzucić brudne oszustwo, ale w ostatnich minutach uczuł się z nią zgodnym w zobopólnem potępieniu brata i gotów był przyjąć byle jakiekolwiek wyjaśnienie tego oszustwa.

Był całkiem usposobiony uwierzyć, że jeżeli utracił jej miłość, to przynajmniej nigdy nie był przez nią zwiedziony.

Gdy mężczyzna sam robi się oskarżycielem, i sędzią przysięgłym kobiety, którą kocha, to na pewno można spodziewać się werdyktu, *nolle prosequi* (zaniechać sprawę).

Prawdopodobnem jest, że pani Conroy dostrzegła w umyśle towarzysza swego taką górę biorącą słabość.

— W jakim celu szukałeś mnie? — zapytała z niebezpiecznym uśmiechem; — czy dlatego tylko by mię łżyć?

— Istnieje druga koncesja na ten sam grunt, do którego pani, jako Gracja Conroy, czy też pani Conroy masz pretensję, — odrzekł Devarges z męską niezgrabnością — koncesja dawniejsza aniżeli wydana memu bratu Pawłowi. Strona mająca tę koncesję w ręku, mocno podejrzywa, że tu nastąpić musiało jakieś oszukaństwo... i ja zostałem zawezwany do sprawdzenia rzeczy.

Siwe oczy pani Conroy zabłysły.

— A jak i na jakiej podstawie opiera się to podejrzenie? — zapytała.

— Na bezimiennym liście.

— Widziałeś go?

— Widziałem list; wyrazy dopisane w niektórych miejscach na koncesji pisane są jedną i tąż samą ręką.

— I znasz rękę?

— Znam ją; jestto pismo człowieka, który w tej chwili przebywa tu, kalifornijczyka — Wiktora Ramirez!

Utkwił w nią oczy. A ona, nie okazując żadnego wstydu, utkwiła w niego swoje i zapytała z uśmiechem.

— Ale czyż nie wie twój klient, że czy koncesja jest sfałszowaną, czy nie, tytuł własności mego męża jest legalny.

— Tak, ale sympatje mojego klienta, są po stronie tej sieroty, tej Gracji.

— A! zawołała pani Conroy z westchnieniem, — ten klient, do którego jeździłeś — mniejsza o to ile mil — czy to nie kobieta?

Na pół zadowolony, ale zarazem na pół zmięszany, Devarges odrzekł.

— Tak jest!

— Rozumiem, rzekła pani Conroy powoli. Młoda kobieta, może nawet dobra, piękna kobieta! I powiedziałeś jej: ja tę panią Conroy napiętnuję jako oszustkę!... i dlatego to jesteś tu. No, niech tak będzie! nie ganię cię za to. Jesteś mężczyzną. Być może iż dobrze, że się tak stało!

— Ależ, Juljo! wysłuchaj mnie! przerwał zakłopotany Devarges.

— Więcej nie trzeba, odrzekła pani Conroy wstając i białą swą ręką nakazując mu milczenie, — nie ganię cię. Nie mogłam spodziewać się... na więcej nie zasługuję. Idź do twej klientki; powiedz jej, że widziałeś oszustkę, Julję Devarges. Powiedz niech popiera swe pretensje, niech poszukuje swego prawa, że będziesz jej dopomagać. Doprowadź do końca dzieło, które bezimienny autor listu rozpoczął i wyjednaj jej przebaczenie za jego występek i moją głupotę. Obyś został wynagrodzony! Zasługujesz na to! Ale powiedz jej także, iż niech Bogu dziękuje, że dał jej lepszych przyjaciół, aniżeli ich Julja Devarges posiadała za świetnych dni swej piękności. Idź i bądź zdrów! Nie?... to pozwól mnie odejść, Henryku Devarges, pójdę do mego męża. Ten przynajmniej zrozumiał jak się przebacza biednej i zbłąkanej kobiecie, jak się ją osłania.

I nim zdumiony stojący przed nią mężczyzna, zdołał znowu opamiętać się, już mu ona, że tak powiemy, wyśliznęła się między palcami i odeszła. Chwilę tylko śledził wzrokiem znikającą pomiędzy drzewami białą suknię. Wkrótce wysokie pnie drzew, gęsto stojących, zakryły ją przed nim.

Być może iż dobrze się stało, gdyż po chwili wpadł Wiktor Ramirez z rozpłomienionemi oczyma, włosami w nieładzie i ciężko oddychając. Szalenie popędził i znalazł się tuż przy Henryku Devarges.

Oba w gniewnem milczeniu spojrzeli sobie w oczy.

— Gorący dzień dla przechadzki, powiedział Devarges ze źle ukrytą ironją.

— Do wszystkich piorunów! masz pan słuszność... gorący, odrzekł Wiktor, — a pan jak myśli?

— O! ja tu z muchami wojowałem... żegnam pana. (C. d. n.)

W obłoki strzałę ja puściłem.

(Według Longfellow'a.)

W obłoki strzałę ja puściłem :
Ku ziemi zeszła, nie wiem gdzie,
Lecz chociaż wzrokiem ją goniłem
Lotowi jej nie równał się.

Obłokom piosnkę jam zaśpiewał:
Ku ziemi zeszła, nie wiem gdzie,
Któż kiedy wzrok tak bystry miewał
By piosnko! w locie schwycić cię?

Po długim, długim czasie, w drzewie
Znalazłem strzałę jeszcze zdrową,
A w przyjaciela mego śpiewie
Spotkałem każde piosnki słowo.

Bl. R.

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

Druga serja.

(*Ciąg dalszy.*)

Po nad naszemi głowami krążyło sięgając chmur prawie drapieżne ptactwo i czatowało sposobnej chwili uderzenia na upatrzoną ofiarę. Uwijały się tam, o ile rozpoznać byliśmy zdolni, jastrzębie, pustułki, krogulce, kanie, sokoły, kaniuki, i parę odmian sępów. Trochę niżej wzbijały się w powietrze, to znów w szybkim locie muskały wodę lub nad brzegiem wyszukiwały żeru familje długodziobnych płetwonogich jako to: żurawie, bociany, czerwonaki, pelikany, kilka gatunków czapli, kaczki dzikie, nur czubaty. Wpatrzywszy się z uwagą w przestrzeń nadbrzeżną, można było dostrzedz wśród algów wyrzuconych przez bałwany, rojące się raki, krabie, krewetki, homary, żółwie. Krokodyl zwijał si wygrzebując jaja krokodyle czy żółwie, gavial zdążał do morza, inny wychyliwszy paszczę nad brzeg zoczył nas i co prędzej ukrył się pod wodą.

— Panowie! — odezwał się do nas Shabunder, nie wystrzeliliście przez parę dni ani jednego naboju i sądzę, że macie niepomierną chęć spróbowania szczęścia. Może rozpoczniecie ogień...

— Z chęcią — odrzekliśmy wraz, asesor i ja.

— Tylko ostrzegam was, że gdy wszyscy trzy wypalimy broń naszę — bo i ja chcę mieć w tem udział, niezoczymy już tak prędko zwierzyny.

— Rozporządzaj więc Maha, będziemy posłuszni twoim wskazówkom — odparł asesor.

— A ja czekam panów — odrzekłem.

Shabunder wziął z rąk swego służącego dubeltówkę. Była to broń bardzo ładna, której nam jeszcze nie pokazywał, i odwiódłszy kórki zawołał.

— Jesteście panowi gotowi? — daliśmy znak głową, Shabunder zmierzył, wypalił z dwóch rur, w parę sekund ozwały się nasze strzały.

Olbrzymi żóraw zajęty właśnie szukaniem żeru w wodzie na brzegu, padł pod kulą Shabundera, asesor który zwykle w lot trafiał ptaki, ubił czerwonaka, co do mnie ujrzałem ruszające się po za pagórkiem piasku i na wpół przysłonięte, jakieś dwa czarne stworzenia. Co one tam robiły i czem były, wcale nie wiedziałem, ale na chybił trafił, wymierzam moje dwa naboje do nieznajomej zwierzyny. Ledwie padły strzały, Józef i Lugle spieszą podnieść, co tam jest, i widzę że z uwagą się temu przypatrują. Lugle jak zwykle był poważny, ale Józef zawsze roztrzepany pochwycił zwierzynę, i w skokach biegł ku mnie wrzeszcząc — Aj! aj! aj! mój dobry pan zabił benturongi.

Ni ja ni asesor nie znaliśmy tych stworzeń.

— A do djabła, masz pan szczęście — rzecze Shabunder — przecież to nocne drapieżniki i prawie nigdy w dzień się nie ukazują, ztąd rzadko je można spotkać, a pan aż dwóch na raz ubijasz.

— Doprawdy nie sądziłem się tak szczęśliwym — odparłem zdziwiony powodzeniem.

Moje dwa benturongi jak je nazwał Józef, dostały kule w same pyszczki, właśnie kiedy obrabiały dziką kaczkę, którą udusiwszy, zapewne upuścił jakiś ptak drapieżny. Były to zwierzątka nie większe nad półtory stopy, z ogonem długim, pokrytym włosem jedwabnym i ku dołowi zagiętym. Krępe kształtem, z dużą stosunkowo głową, w której osadzone tkwią małe okrągłe oczy, miały pyszczyk kosmaty i u nóg pięć palców uzbrojonych w pazury. Sierść ich, chociaż połyskująca, jest raczej twarda i długa, wydają przytem odór piżma.

Jak to przepowiedział Shabunder, ptaki i wszelka zwierzyna wyniosła się po huku wystrzałów, pozostały się jedynie różnego rodzaju muszle i raki, któremi napełniwszy worki wracaliśmy do naszych łodzi. Dwa gościńce biegły po obu stronach kanału wysadzone drzewami, krajem obrosłe przez różne wodne rośliny, co czyniło wrażenie wspaniałych alei rozległego parku. Na każdym kroku natura roztaczała przed naszym wzrokiem swoje skarby, i mogliśmy dowolnie podziwiać rozmaitość i bogactwo darów, jakiemi uposażyła ziemię. Nie mieliśmy wprawdzie czasu zabawiać się dłużej łowami i muszlobraniem, ale trudno było zamknąć oczy na szczodrobliwie rozrzucone cuda przyrody. Ruchliwe ptactwo trzepotało się po drzewach uganiając w swych zwykłych zajęciach. Wrony krążyły stadami, gromady papug obsiadały gałęzie, tu i owdzie kołysały się pawie i bażanty. Czaple w licznych swych odmianach, siadały na szczycie drzew, to zataczały koła nad powierzchnią wód, czasem zanurzały się chwytając upatrzoną zdobycz, albo z brzegu czatowały na jaką ofiarę. Ryby również nie były bezczynne, i one także rozpościerały swój zapas wybiegów. Żabnica z długim ogonem i potworną głową, trzymała się cicho ukryta pomiędzy wyrostami wodnemi, a wysławszy na połów swoje naturalne wędki niby robaczki, w kształcie trzech promieni osadzonych na głowie, czekała tak spokojnie na nieoględne rybki. Rodzaj ten zwany także morskim djabłem, jest przedmiotem znacznego handlu w Chinach w Indo-chinach i na Archipelagu Malajskim, gdzie suszony i zakonserwowany sprzedają pod nazwą galanga. Dalej sikacz różnokolorowy, z pyskiem rurkowatym i rzędem cienkich i ostrych zębów, pryskał na upatrzony owad wodą z gardła, i strąciwszy go w wodę połykał. Pryskacz znów, inny strzelec odmiennych kształtów, zabawiał się tym samym podstępem. Biada mu, jeżeli kiedyś wpadnie w sieć rybaka; zaludni jakie akwarium, a tam już nie będzie mógł próbować swej zręczności. Więcej odważny ciernik w pogoni za przeciwnikiem rzuca się i wyskakuje po nad wodę. Zuchwałości jego broni natura; okryty na grzbiecie i bokach ruchomemi kolcami, osłonięty jest od ciosów nieprzyjaciela. Kocha swoje potomstwo, sam ściele gniazda, do których samice składają jaja, i sam także karmi wylęgłe pokolenie. Z błędniczaków łaziec (anabas scandens) jeszcze lepiej uposażony, wychodzi z wody, pełza, zaczepia się o korę drzew, wspina na gałęzie, pomagając sobie ruchem kolców. Obdarzony szczególną budową przyrządu trawienia, posiadającego własność zatrzymania między fałdami wodę potrzebną do zwilżania skrzeli, może na czas jakiś opuścić bez szkody swój żywioł.

Spostrzeżenia nasze zostały przerwane, i całą uwagę zwróciliśmy na wielką łódź płaską, zatrzymaną w pośrodku kanału z której dawano nam znaki; trzy zaś mniejsze czółna stały na wbitych palach rzędem u brzegu i obsadzone były dość nieliczną załogą. Sternik nasz spostrzegłszy łodzie zbliżył się do Shabundera, i z ukłonem pełnym uszanowania rzekł:

— Maha jesteś oczekiwany.

— Dalej chłopcy, prędzej ruszajmy z miejsca.

Kiedyśmy znaleźli się w pobliżu oddziału, który czekał nas, wysłany wczoraj na zwiady najstarszy ze służby wystąpił naprzód.

— Cóż tam nowego — zapytał Shabunder — czy dobrze wszystko?

— Nie mógłbym zaręczyć Maha, ale mam nadzieję.

— Cóż dalej?

— Przed świtem jeszcze oczyszczono doły, i przyrządy z desek zostały odnowione. Nasze psy strasznie ujadały, a jak tylko ludzie weszli w zarośla, wszczęła się sztrasznliwa wrzawa. Słyszałem krzyki słonia, nosorożca, ryk tygrysa, ale w znacznej odległości.

— Jesteś tego pewny?

— O ile można byś pewnym, nie widząc na oczy.

— To dobrze.... Skoro tylko zrobię przegląd dołów, dasz znak, aby wypuszczono psy i ścieśniono koło pogonki, o tyle rozumie się, aby pozostawić wolne przejście dla zwierzyny... Czy są wszyscy uzbrojeni?

— Każdy ma pikę, dah, pochodnię i ze dwadzieścia rac.

Shabunder zamyślił się chwilę, poczem zwracając mowę do nas zawołał.

— Panowie! słyszeliście? cóż, serce wam przemawia?

— Ochoczej niż kiedykolwiek — była nasza odpowiedź.

— A zatem w drogę! zacznijmy od przeglądu dołów.

Przestrzeń dwudziestu pięciu mil kwadratowych, odcięta ze wszystkich stron ramieniami rzek i kanałów, zasłana była w większej części kniejami. Na tej płaszczyźnie, w równej odległości od zielonego muru kończącego się gąszczem, i nasypu, na którym bielał gościniec, porobione były prostopadłe jamy cztery metry szerokości, dwadzieścia pięć długości i sześć głębokości. Były one między sobę odgraniczone wałem z ziemi najeżonym kolczastemi krzewami, który tamował wolny przesmyk, kiedy nad dołami cieniutkie deski łatwo łamiące się pod ciężarem, zasłaniały starannie okryte gałęziami jamy.

Shabunder zrobiwszy przegląd, zapytał nas, czy nie mamy jakich uwag do zrobienia, co się tyczy podziału zasadzek i ich wykonania. Naturalnie odpowiedzieliśmy przecząco, poczem zwrócił się do starszego ze służby, piastującego niejako urząd łowczego.

— Odpraw ludzi pozostających, niech idą złączyć się z obławnikami, i niezapomnij rozdać im broń i race. Co do rac, niech ich nie szczędzą, i wzniecą ogień w kniei... Przyszlij mi moją broń przez pięciu najlepszych strzelców, a resztę marynarzy, oprócz potrzebnych do pilnowania łodzi, rozstaw z dwóch stron linji, żeby zwierzyna nie uchodziła bokiem. Zatrąbisz na atak, jak tylko mi broń przyniosą.

Tu nastał mały spór między nami. Shabunder jako organizujący polowanie twierdził, iż jemu przynależy honorowe stanowisko, to jest najniebezpieczniejsze, my chcieliśmy przynajmniej zrównoważyć szanse. W ciągu dziesięciu minut, w czasie których zbliżyliśmy się na pięćdziesiąt metrów od zarośli, stanął następujący układ. Shabunder i jego pięciu strzelców zajmowali stanowisko po jednej stronie linji, którą miała ciągnąć zwierzyna, zaś asesor ze swymi marynarzami, ja i moje chłopcy przechodziliśmy na drugi bok, stając w tej samej odległości. Co się tyczy porządku, jakim będziemy strzelać, przyrzekliśmy sobie nie przeszkadzać wzajemnie, usuwając na bok wszelką miłość własną; także nie wystrzeliwać wszyscy odrazu broni, chyba w nagłej konieczności, ażeby zawsze jeden przynajmniej był w pogotowiu na wszelki wypadek. Wreszcie miano oszczędzać proch i nie szafować dla zwierzyny drobnej.

(C. d. n.)

Modnie ubrana.

Boże! jakiś Ty łaskawy!
Dzięki Ci za dary Twoje:
Koncerta, bale, zabawy,
Ostatnie mody i kroje.
W lustrze od samego rana
Mierzę, przymierzam i mierzę...
Ach! w ogrodzie na spacerze
Będę najmodniej ubrana.

Powiadają, że to zbytki;
O co tu tyle hałasu?
Dwieście łokci aksamitki,
Sześćdziesiąt dziewięć atłasu,
Pięć piór, chustka haftowana.
Z djamentem brosza niewielka...
Ach! doprawdy — bagatelka!
Będę najmodniej ubrana.

Mąż mi codzień suszy głowę,
Że mu brakuje pieniędzy;
Poradziłam — brać łapowe,
Dzisiaj, zaraz, jak najprędzej.

Tym sposobem rozwiązana
W jednej chwili łamigłówka...
Ach! będzie zawsze gotówka,
Będę najmodniej ubrana.

Co to tam tak w kuchni płacze,
Że aż tu słychać przez ścianę?
To nasze dzieci! smarkacze,
Jakie to umorusane!
Idźcie precz! — à la pastrana.
Przynieśli właśnie odkrycie...
Ach! to dobrze! na odczycie
Będę najmodniej ubrana.

Już idzie pan Piotr uczony
Prawić o literaturze;
Niech plecie brednie do żony,
Albo do kolegów w biurze.
Nie ma mnie! Moja falbana
Jak leży, pójdę, popatrzę...
Ach! wieczorem na teatrze
Będę najmodniej ubrana.

Helenka mi się przysięga,
Że noszą już inne bufki;
A mój pan mąż, niedołęga,
Mówi, że wydał łapówki.
Srebrna waza już sprzedana.
Więc zastawiam cukiernicę...
Ach! wybornie! na muzyce
Będę najmodniej ubrana.

Onegdaj mnie rwała głowa,
I ciężkie napadły smutki;
Mówili, że Alfredowa
Miała bąble u narzutki.
Byłabym już pogrzebana
Gdyby nie rada Anielki...
Ach! mam te same bąbelki.
Będę najmodniej ubrana.

M. Rodoć.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

V.

(R.) Nie jest rzeczą pisma literackiego, podawać szczegółowe relacje z dorocznych walnych zgromadzeń stowarzyszeń, jakie się ostatniemi czasy odbyły we Lwowie. Ażeby jednak „tydzień lwowski" był ile możności wiernym odbiciem tutejszego ruchu i życia, zapisujemy i z tych objawów życia co najważniejsze. Szereg walnych zgromadzeń rozpoczęła „Gwiazda" i połączone z nią stowarzyszenie wzajemnej pomocy rękodzielników — instytucje, stojące już zupełnie o własnej sile i zachęcane do wytrwania w pracy powszechną sympatją, jaka je otacza. Przekonaliśmy się, ze sprawozdania i z przebiegu obrad, że w stowarzyszeniach tych praca nad oświatą idzie zawsze równolegle z wzajemną pomocą materjalną, a wytworzona między stowarzyszonymi solidarność potęguje się tym wielkim węzłem moralnym, jakim jest silne poczucie narodowe, gorąca miłość ojczyzny. Póki „Gwiazda" tą drogą postępuje — a wątpić nie można, że z niej nigdy nie zejdzie, póty towarzyszyć jej będą żywe sympatje całego patryotycznego ogółu. Spokrewnione z „Gwiazdą" „Stowarzyszenie pracy kobiet" rozwija się pomyślnie, nie mając jednak tego u ogółu poparcia, na jakie ze względu na cel swój i na gorliwą pracę zarządu zasługuje. Wstyd doprawdy, że w stutysięcznem mieście, stowarzyszenie tego rodzaju liczy ogółem tylko 245 członków, a dodać musimy że między tymi jest jeszcze dość spora liczba zamieszkałych na wsi. Chwilka zastanowienia nad tem, jak doniosłe być muszą socjalne i moralne skutki podniesienia wartości pracy kobiet, zwrócenia jej na nowe pola zgodnie ze stanowiskiem kobiety w rodzinie, powinnaby do przystąpienia skłonić każdego i każdą, kto tylko jeszcze się nie zaskorupił w fałszywie pojmowanym egoizmie. Tylko przy bardzo licznym udziale może stowarzyszenie cel swój osiągnąć, i nowe działy pracy otwierać. Dotychczas oprócz krawiectwa i szycia białego istnieje w stowarzyszeniu tylko nauka i pracownia szewstwa, tudzież maszynowych robót pończoszkowych. Gdyby liczba członków się podwoiła, gdyby zamożniejsi pospieszyli z pewnemi większemi ofiarami, czego gdzieindziej takie stowarzyszenia zawsze w wysokim stopniu doznają, możnaby otworzyć nowe działy, jak n. p. introligatorskie, piłeczkowe roboty z drzewa i t. p. A zaznaczyć tu jeszcze musimy że z uczennic stowarzyszenia jedna już założyła własną pracownię maszynowych robót pończoszkowych, co jest pięknym objawem skutecznego działania tej instytucji. Oprócz tego istnieje w stowarzyszeniu szkółka powtarzająca dla uczennic wszystkich pracowni kurs handlowy. — Towarzystwo „oficjalistów prywatnych", którego delegaci zebrali się z całego kraju na dwudniowe narady, weszło już na tory zupełnie regularnego działania, rozpoczęło już wykonywać swe właściwe zadanie, rozdając emerytury niezdolnym do pracy członkom, tudzież wdowom i sierotom. Do kapitału żelaznego przyłączono z ubiegłego roku 16.700 zł., a cały majątek zapomogi stałej wynosi już 185.000 zł. Jest to zatem jedno z najbogatszych u nas stowarzyszeń. Niepojętą wszakże jest obojętność właścicieli dóbr w obec tej instytucji, która zapewniając urzędnikom gospodarczym emeryturę, temsamem przyczyni się do moralnego ich podniesienia. Byłoby przeto w interesie właścicieli, ażeby dopłacając dla swoich oficjalistów należących do Towarzystwa po jednym udziale (tylko 5 zł. rocznie!) tem samem podnieśli ich emeryturę a zarazem przyczynili się do spotęgowania instytucji, tak dla urzędników gospodarczych ważnej. Myśl tę poruszono ostatniemi czasy w obu krajowych towarzystwach gospodarczych, i spodziewamy się że nie bezskutecznie. — O zebraniu Gal. Towarzystwa „gospodarskiego" jużeśmy pisali w ostatnim numerze. — Towarzystwo „kredytowe ziemskie" postępuje dalej ubitą z dawna drogą, może zbyt konserwatywnie jej się trzymając. Mamy tu przedewszystkiem na myśli uśmiercenie a według rysunku „Szczutka" zamarynowanie, wniosku, ażeby Towarzystwo utworzyło instytucję dla miejskiego kredytu hipotecznego, niezbędnie w kraju naszym potrzebną. Byłoby to z korzyścią nietylko dla kraju, ale i dla samego Tow. kredytowego ziemskiego, które swój wielki fundusz rezerwowy „marynuje" bezużytecznie w kasach. Wielkiej dla kraju doniosłości może się stać z czasem „Związek stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych", którego walne zgromadzenie złożone z delegatów stowarzyszeń, przeważnie zarobkowych, obradowało d. 4go b m. Związek ma na celu przedewszystkiem rozszerzać stowarzyszania zaliczkowe, spożywcze, surowcowe i t. p. starać się o zawiązywanie nowych, gdzie się po temu znajdą żywioły, udzielać wszelkich wskazówek i instrukcyj tak dla nowo powstających jak jak i dawniej zawiązanych, bronić wspólnych interesów stowarzyszeń, dawać opinję większym instytucjom o stowarzyszeniach żądających kredytu, i t. p. Obecnie podniesiono myśl utworzenia centralnej instytucji kredytowej, któraby stowarzyszeniom jako takim, zapewniła łatwiejszy i tańszy niż dotąd kredyt. Przeprowadzono szczegółową nad tym przedmiotem dyskusję ale nie załatwiono go jeszcze ostatecznie, uchwalono bowiem najprzód zażądać opinji Rad nadzorczych wszystkich stowarzyszeń. Odroczenie to nie będzie miało złych skutków, centralna instytucja bowiem prawdopodobnie oprze się w części o fundusze krajowe, które dopiero od sejmu uzyskać można; tymczasem zaś w stowarzyszeniach samych będzie się mógł wyrobić grunt dobrze przygotowany, i pewna wspólna opinja, bez której trudno było do działania przystąpić. Jak zaś doniosłą jest praca stowarzyszeń zaliczkowych, dość powiedzieć, że w r. 1875 rozdały one z górą 7 miljonów zł. pożyczek, przeważnie takim, którzy poprzednio tylko z lichwiarskiego kredytu korzystać mogli.

* * *

(R.) Istnieje we Lwowie izraelickie kasyno z nazwą niestety niemiecką „Gezelligkeit". W kasynie tem, oprócz zabaw i wieczorków muzykalnych, odbywają się także odczyty i amatorskie przedstawienia. Otóż z radością zapisujemy tu, że w zarządzie kasyna objawia się zwrot pomyślny ku polskości. Już w roku zeszłym urządzono kilka odczytów w języku polskim, a zgromadziły one tak samo liczne grono słuchaczy, jak odczyty niemieckie. Obecnie zarząd uczynił znowu krok naprzód w tym kierunku: oprócz polskich odczytów bowiem odbywają się także amatorskie przedstawienia w języku polskim. Szczerze życzymy powodzenia tym usiłowaniom, w których znaczna przypadła zasługa kobietom izraelickim wykształconym w szkołach publicznych i w polskich zakładach prywatnych. Wytrwać tylko na tej drodze, a przyjdzie czas, kiedy nie będziemy potrzebowali objawów takich zapisywać jako wyjątkowo pomyślne, a raczej objawy niemczyzny między izraelitami będą wyjątkiem.

* * *

(J. T) Odczyt p. Henryka Rodakowskiego o malarstwie (w poniedziałek 5 marca) przyniósł znaczny dochód ubogim miasta Lwowa, a prawdziwe zadowolenie licznie zgromadzonym słuchaczom. Nie było może systematyczności w układzie przedmiotu, liczne kwestje poruszone w odczycie dość luźnie i niejako przypadkowo łączyły się ze sobą, atoli pomimo to przejścia były tak swobodne i naturalne, a całość odziana w tak bogatą szatę, że pewien brak systematyczności mógł się dać uczuć tylko sprawozdawcom, którym chodziło o to, aby słyszane jak najlepiej ująć i przechować w pamięci.

Główną zasadniczą myślą odczytu było to, że sztuka powinna stać wyżej nad wszelkie polityczne, społeczne i filozoficzne tendencje, powinna być beztendencyjną, przemawiać do nas tylko w imię piękna, a nie innych, ubocznych celów. Tak się jednak niestety nie dzieje, i owszem widzimy, że w każdej epoce prądy dołem płynące wstrząsają powietrznem państwem sztuki i bardzo często z tej królowej robią sługę i niewolnicę. I tak dzisiaj prąd realistyczny, który panuje w nauce i filozofji i do tak wielkich doprowadza je rezultatów, pragnie i sztuce przepisać swoje prawa. Oddziaływanie jego widoczne szczególnie w malarstwie historycznem. Malarze silą się na wierność historyczną i archeologiczną, czy jednak potrafią namalować choć jeden taki obraz, jak obrazy Pawła z Werony, gdzie pełno anachronizmów, ale gdzie życie pełnym strumieniem tryska z każdej postaci?

Pod względem piękności języka i wdzięku przedstawienia rzeczy, odczyt był bez zarzutu, a uznanie jakie p. Rodakowski znalazł u słuchaczów, pozwala nam przypuszczać, iż nieraz jeszcze zgotuje nam równie przyjemną chwilę, jak ta którąśmy na pierwszym jego odczycie spędzili.

* * *

(C.) W jednym z ostatnich swych numerów *Kronika Codzienna* porusza myśl zaprowadzenia mundurów dla uczącej się młodzieży i zwraca na nią uwagę Rady szkolnej. Nie ulega wątpliwości, że z wielu względów myśl ta zasługuje na poparcie. Naprzód bowiem mundur usuwa owe niewłaściwe wyróżnianie się strojem zamożniejszych od mniej zamożnych, a powtóre ułatwia władzy nadzór nad zachowaniem się młodzieży po za szkołą. Należałoby tylko pomyśleć o tem, ażeby sprawienie munduru było ile możności ułatwionem przez odpowiednie umowy z krawcami co do ceny, jak to ma miejsce np. z ubiorami dla ćwiczeń gimnastycznych.

* * *

(O.) Na wtorkowem posiedzeniu Towarzystwa przyrodniczego nowo obrany prezes prof. dr. Radziszewski zdał najprzód sprawę z ukonstytuowania się nowego zarządu. Na kasjera obrano prof. Soleskiego, na sekretarza i jego zastępcę profesorów: Ciesielskiego i Tynieckiego, a na kustosza prof. Niedźwieckiego, który nadto przyjął łaskawie obowiązki administratora *Kosmosu*. Redaktorem pozostał jak dotychczas prof. Radziszewski, na którego wniosek utworzono nadto komitet redakcyjny, celem wzmocnienia różnych działów *Kosmosu*. Do składu tego komitetu oprócz członków zarządu zostali zaproszeni pp.: Abakanowicz, Fabian, Godlewski, Janota, Ochorowicz, Petelenz, Rościszewski, Stella-Sawicki, Stanecki i Zajączkowski. Zebrania ogólnoprzyrodnicze mają się odbywać w Uniwersytecie, techniczne w Akad. technicznej, a matematyczne w szkole realnej. Po ukończeniu sprawozdania prezesa, prof. Fabian przedstawił ciekawe okazy lodu, w których widoczną była budowa promienista i silne załamywanie światła. Posiedzenie zakończył wykład Juljana Ochorowicza „O zjawiskach zdwojenia świadomości i podwójnej samowiedzy,“ które to fakta dopiero w ostatnich latach zostały poznane i obecnie zwracają na siebie uwagę psychijatrów i psychologów. Odczyt ten, którego tylko część była wypowiedzianą, drukowany będzie w *Kosmosie*.

* * *

(O.) Od kilku dni bawi w naszem mieście Karol Brzozowski, (poeta, inżynier i podróżnik, znany także pod pseudonimem „Czarnego Strzelca“) o którego świetnym przekładzie „Księgi Jobowej“ wzmiankowaliśmy w jednym z poprzednich numerów. Brzozowski od siedmnastu lat przebywa na Wschodzie, a do nas przybył tylko na czas krótki, ażeby zaczerpnąć piersią ojczystego powietrza i nabrać otuchy do dalszej samotnej pracy. Na jednem z prywatnych zebrań Władysław Bełza powitał podróżnika serdecznym wierszem, który poniżej podajemy:

Witaj pielgrzymie na ojczystym łanie!
Gdy z dala wracasz do rodzinnych progów,
Niech pieśń przed Ciebie idzie na spotkanie,
Niech Cię pozdrowi w imię starych bogów.

Wybiegłeś orłem w świat marzeń szeroki,
Na gruzach pysznej dumałeś Niniwy,
Po latach wracasz z pustyni głębokiej,
Tęskny jak żóraw —i jak żóraw siwy.

Witaj pielgrzymie! a witaj z tej nuty,
Która w Twej piersi pieśń wieszczą natchnęła,
Co brzmi jednako w dniach łez i pokuty,
Jak w dniu wesela:—„Jeszcze nie zginęła!“

Niegdyś pieśń Twoja — nuta Twego śpiewu,
Jako grom była co dęby druzgoce...
Dziś wracasz spojrzeć na plon Swego siewu,
I zbierać idziesz Swych natchnień owoce.

O patrz! my pieśnią Twoją wykarmieni,
Do walk i trudów na nowo się zbroim;
Szlak Twój płomienny nie zagasł w przestrzeni,
Po nowe pieśni -- płyniem szlakiem Twoim.

A Tyś nam, jako nektar lal do czary,
Pieśni natchnione błyskami proroctwa.
O ciesz się bardzie! my nic z Twojej wiary,
Nie uronili w pielgrzymce sieroctwa.

I znowu stoim jako przedtem silni,
A tak wierzący jak Tyś wierzył z młodu,
Z okiem ku niebu—patrzym coraz pilniej,
Tam — kędy idą wybrańcy narodu.

Lecz czem Cię przyjmiem w ojczyźnie ubogiej,
Dziś, kiedy sami mamy tak niewiele?
Na Twe przyjęcie o wieszczu nasz drogi,
Nie krasa wiosny — lecz zima się ściele.

Słowików nie ma, coby w długie noce
Pieśń ci nuciły którą w duszy marzysz...
Samotny tylko wróbel gdzieś świergoce,
On nasz jedyny wśród zimy towarzysz.

Więc przyjm — czem serce darzy Cię najmilej —
Miłością ziomków i czcią niewygasłą —
A jako znamię braterskie i hasło,
Bierz pieśń nuconą przy rozstania chwili...

A gdy znow wrócisz do stepowej głuszy,
I w szmer pustyni pierś Twoja się wsłucha —
Niech piosnka moja wyśpiewana z duszy,
Niesie Ci odźwięk całej Polski ducha!

* * *

Żegnając sędziwego lecz prawdziwie młodzieńczym duchem ożywionego poetę, dzielimy się z czytelnikami naszemi przyjemną wiadomością, że p. Brzozowski zostawił nam uprzejmie kilka swych utworów a nadto przyobiecał obszerne i pełne ciekawych szczegółów *Pamiętniki swego życia*, do których uporządkowania ma się zabrać po powrocie do Azji.

Kronika naukowa.

(Nowa gwiazda w konstelacji Łabędzia odkryta przez p. J. Schmidta. Co należy rozumieć przez nowe gwiazdy. Możliwa katastrofa w naszym układzie słonecznym. Naturalne fotografje na siatkówce ocznej. Badania prof. Kühnego.)

Astronom ateński p. J. Schmidt, badając wieczorem d. 24. listopada 1876 r. niebo w okolicy Konstelacji łabędzia, ujrzał między znanemi mu dobrze gwiazdami, nową, dotychczas nieznaną. Jaśniała ona tak silnem światłem, iż na pierwszy rzut oka można było twierdzić, że jej w tym miejscu poprzednio nie było. Jeszcze dnia 20go p. Schmidt przeglądał te strony nieba starannie i nic tam nowego nie widział.

Widocznie więc ta gwiazda zabłysła bardzo prędko; do szeregu światów rozsianych w bezmiernej przestrzeni przybył nowy.

Zkąd?

Otóż to jest pytanie, które sobie od dość dawna ludzie zadają*). Może to są światy zupełnie nowe, ciała, które z niczego powstają, a może też jak sądził Riccioli są to ciała niebieskie, których jedna połowa jest jasna, a druga ku nam zwrócona ciemna, i dopiero w danej chwili obraca się i ukazuje nam jasną stronę. Przez długi czas błąkano się w tego rodzaju przypuszczeniach. Dziś nikt w nie nie wierzy. Wiemy, że z niczego nic powstać nie może, a przypuszczenie Ricciolego wobec dzisiejszego stanu nauk, jest po prostu nonsensem.

Badając ściśle nowe gwiazdy, znaleziono, iż zawsze na ich miejscu były poprzednio małe zaledwie widzialne gwiazdki, że więc pojawienie się nowej gwiazdy jest poprostu rozbłyśnięciem małej, nieznanej, niezauważonej dotąd.

Do rozjaśnienia tej zagadki najwięcej się przyczyniło badanie spektroskopowe gwiazdy nowej, która się ukazała w r. 1866. Rozporządzano już wtedy najpotężniejszymi środkami naukowymi i badania doprowadziły do zadziwiających rezultatów. Najwięcej się przyczynił do rozjaśnienia tajemnicy jeden z największych żyjących uczonych **Huggins**.

Rozbiory widmowe wykazały, iż gwiazda tak silnie świeci, ponieważ otoczona jest palącą się atmosferą wodoru. Że więc przypuścić należy, iż wskutek jakiejś nieznanej nam katastrofy, z wnętrza ciała wydobyła się na jego powierzchnię olbrzymia masa gazów palnych, głównie wodoru, że ciało się rozpaliło i świecić zaczęło jaskrawie.

Badanie ostatniej nowej gwiazdy zauważanej przez Schmidta, doprowadziło do podobnych rezultatów i przypuszczenie Hugginsa nabiera coraz więcej prawdopodobieństwa.

Wszystkie dotychczas badane gwiazdy nowe, mają tę własność, iż okazują się raptownie, a potem blask ich powoli się zmniejsza i nareszcie staje się zaledwie widzialnym. Gwiazda Schmidta dziś jest już tylko siódmej wielkości.

Godnem jest uwagi, iż światło przez tę gwiazdę wysyłane, nadzwyczaj jest podobne do światła wysyłanego przez rozpalone gazy otaczające słońce, przez tak zwaną *chromosferę*. Od dawna już wiadomo, że słońce nasze jest taką samą gwiazdą stałą jak i inne, rozrzucone po firmamencie, że więc to co na słońcu spostrzegamy, daje się zastosować do gwiazd stałych i odwrotnie.

Cóżby się stało gdyby na słońcu nastąpił taki wybuch jak naprzykład na nowej gwieździe Schmidta? Okropnie jest pomyśleć o takiej katastrofie; ciepło wywiązujące się przy takim wybuchu zdołałoby w jednej chwili roztopić wszystkie planety razem z ziemią naszą, zamienić je w parę. Z twardych, kolistych brył powstałyby masy mgły rozpalonej, życie organiczne znikłoby w pierwszym momencie.

Ziemia znikłaby jak kropla wody w ogień rzucona!

Nakoniec interesującą jest rzeczą dowiedzieć się kiedy mianowicie na nowej gwiazdce Schidta wybuch nastąpił. Wiadomo, że światło przenosi się z szybkością 42,060 mil geogr. na sekundę, więc gdyby jakikolwiek wypadek zdarzył się na najbliższej z gwiazd stałych α Centauri, odby-

*) Już dotąd obserwowano według Humboldta takich pojawień się gwiazd nowych w okresie lat dwutysiącznym, dwadzieścia kilka. Niektóre z nich jak np. gwiazda z roku 1866 była starannie i dokładnie obserwowaną.

tej o cztery biljony mil geogr. to ujrzelibyśmy go na ziemi dopiero po trzech latach, a ponieważ gwiazda Schmidta jest bez porównania dalej, więc przypuścić należy iż wybuch ostatni nastąpił kilkanaście albo kilkadziesiąt lat temu.

Gwiazda mogłaby się nawet zamienić w parę nieświecącą a mybyśmy ją jeszcze przez długie lata w zwykłym stanie widzieli.

* * *

Oko nasze i aparat którego używają fotografowie, zwany ciemnią optyczną (Camera obscura) mają zupełnie podobne urządzenie. U obu jest z przodu soczewka załamująca promienie i rzucająca na tylną ścianę przewrócony obraz przedmiotu. Fotograf wystawia na tylnej ścianie przyrządu czułą na światło powierzchnię i otrzymuje na niej odbicie obrazu; w oku, jak ostatnie poszukiwania p. Kühnego prof. w Heidelbergu wykazały, rzecz sią ma zupełnie tak samo. Na siatkówce otrzymuje się naturalną fotografję przedmiotu, która jednak bardzo prędko znika.

Już dawniej prof. Boll wykazał, że siatkówka oka naszego jest zabarwiona na purpurowo i że ta barwa płowieje natychmiastowo pod wpływem światła. Prof. Kühne wykazał że na tem tle purpurowem bez przerwy odbijają się obrazy widzianych przedmiotów, lecz że dolne warstwy pod siatkówką odnawiają także bez przerwy barwę purpurową i obrazy prędko się zacierają.

Następujące doświadczenie Kühnego roztrzygnęło tę kwestję ostatecznie. Umocowano królika w ciemnym pokoju przed okiennicą w której był mały kwadratowy otwór. Głowa jego i oko były trzymane nieruchomo. Przez trzy minuty padało światło z otworu w okiennicy, następnie odcięto raptownie głowę królikowi, i w pokoju oświetlonym żółtem światłem, nie wpływającem na zmianę barwy purpurowej, wyjęto siatkówkę.

Znaleziono na pięknem tle purpurowem wyraźny, o ostrych rysach blado różowy obraz otworu w okiennicy. *B. Abakanowicz.*

O potrzebie rozwoju przemysłu małego czyli drobnego w Galicji

napisał

JAN NEP. Z OLEKSOWA GNIEWOSZ.

(*Ciąg dalszy* *).

*) W ostatnim numerze Tygodnia strona 411 szpalta 2ga wiersz 17ty od dołu — wskutek pomyłki oparafowania manuskryptu, został po słowach: „niemógłby nam nic pocieszającego powiedzieć;“ następujący ustęp opuszczony:

„a współzawodnicy jego, potrzebują jeszcze wielkiego zapasu wytrwałości, aby przełamać lody niewiary, i zaczem zyskają uznanie, a tem samem możebność dalszego bytu.

Oprócz mydełek, pachnideł i pomad, mamy przed sobą zestawienie liczb, co do sprowadzanych artykułów, niezbędnych w codziennem użyciu ogółu, jako to: atramentu, i farb do odcisków pieczęci suchych (stampilji), — których dostarczają przeważnie: Bodenbach i Praga rocznie do Lwowa za 35—40,000 złr. Czernidła do obówia czyli szwarcu, sam Wiedeń przysyła rocznie za 6—10,000 złr. Francja dawniej za 3—4,000 złr. a obecnie 10—12,000 złr. Cyfry te jednak są niedokładne, po obliczeniu przeciętna sprzedaż roczna zagranicznego czernidła we Lwowie, wykazuje około 48—52,000 złr.

Artykuły te, wyrabiane na miejscu, niepotrzebowałyby obawiać się konkurencji—a mogłyby wiele rąk zatrudnić, jeżeli zważymy, ile potrzeba pudełek, puszek, słoików, flaszeczek.

Wyroby te, aby wyrównały zagranicznym, potrzebują również znajomości chemji.“

Do działu technologji domowej, który u nas winien bezwarunkowo znaleść producentów, zaliczam wyrób laku; przez co z naszych lasów, których co rok tak wiele wycinamy, wyciągalibyśmy jeszcze jedną korzyść, to jest: żywicę. Żywica jak wiadomo, jest podstawą przy wyrobie laków. Jest to artykuł, który pomimo zaprowadzenia kopert gumowanych, sprzedaje najmniejszy nawet sklepik. O ile zresztą zmniejszyło się użycie laku do pieczętowania listów, o tyle powiększyło pieczętowanie butelek, dla ochronienia rozmaitych płynów od zwietrzenia?

Do artykułów handlowych, których codziennie używamy, a przy wyrobie których nie maszyna, ale głównie ręce ludzkie są najważniejsze, zaliczymy parasole, parasolki i wachlarze.

Smycerstwo w górach dostarczałoby trzonków i opraw, które stanowią ważną część składową tak parasola jak wachlarza. Pręty do rozpinania metalowe lub fiżbinowe, oraz materję na pokrycie, sprowadza się ze specjalnych fabryk europejskich. Lakierowanie, szycie i złożenie uskutecznia się na miejscu. Co rok dowóz nietylko się nie zmniejsza, ale przeciwnie; czybyśmy pracą tą nie mogli zatrudnić setek rąk tak kobiecych jak męskich?

Teraz pomówmy o artykule, do którego materjał mamy na miejscu w znacznej części, a do wyrobu nabywa się wprawy w bardzo krótkim czasie. Mówię o kołnierzykach i mankietach, tak męskich jak kobiecych. Nie mogłem zebrać dat statystycznych, za jakie sumy kupcy sprowadzają artykułu tego, ale już samo powszechne użycie daje dostateczne świadectwo, że cyfra musi być wysoka.

Podział tej pracy, dzieli się na krój, szycie, pranie, gumowanie i prasowanie. Rzecz zupełnie łatwa, potrzebuje tylko rąk, a co najwięcej, małych maszynek do szycia. Do działu tego zaliczę różnego rodzaju inne damskie mankietki muślinowe, batystowe; rękawki, kołnierzyki, kryzy, półkoszulki, a nawet czepki negliżowe.

Ażaliż to nie jest nawet upokarzającem i w wysokim stopniu ubliżającem naszej płci pięknej, że to, co potrzebuje tylko kilkaset ściegów, zręcznego ułożenia i uprasowania, musi być z zagranicy sprowadzane, a potem przepłacane nad wartość? Jakto? nasze Polki są tak nieudolne i niepojęte, że jakby rozmyślnie ubożą kraj, wyrzucając za takie drobnostki krwawy grosz ojców i synów po za granicę? Czy wtenczas, gdy u nas padają pod ciosami losu setki biednych sierót dziewic i wdów, nie jest naszym obowiązkiem, podać im do rąk uczciwą pracę!

Do was się odzywam pp. kupcy! „podnieście się do wysokości obowiązku obywatelskiego!“ Jeżeli chcecie, aby was kraj popierał, i dawał pierwszeństwo jako synom tej ziemi. Zgoda na to; ale wprzód zapytam, jaki procent myśli nad tem, że prawie do was należy wyłącznie myśl, leżąca nawet w interesie osobistej obrony i powodzenia, aby system kupiectwa rabunkowego, nie wysysał bezpowrotnie ostatku soków z tego nieszczęśliwego kraju, w którym czerpiecie waszą zamożność. Kto od was ma kupować, kto popierać, jeżeli stosunek wyprowadzanych kapitałów, nie może być wyrównany powrotem tychże?

Dla was samych skutki już jasne jak na dłoni; najmniejszy powiew wiatru, obala wasze bezpodstawne pajęcze budowy.

Sprowadzacie setki, tysiące tuzinów krawatek, kokard, których całą sztuką, są chwilowe, modę stanowiące nazwy; czy nasze kobiety są tak ograniczone, że nie umią szyć i układać materji w fałdy i formy podług danych modeli? Nie panowie, tak dalej być nie może, jeżeli niechcecie zginąć pod gruzami i zejść na ostatniego rzędu fagasów u drwiących z nas cudzoziemców.

Tak postępując, nie macie nawet prawa do nazwy zacnego imienia kupieckiego, jak takowe było przez ojców naszych pojmowane. A pochodzi to ztąd, że oprócz sztuczek i przebiegów kramarskich, nie staracie się poznać nawet ducha i przewodniej myśli tego, co się rzeczywiście kupiectwem nazywa. Duch szarlatanerji nigdy się nie może na długo utrzymać, jest on tym różem na licu kokietki, który starty, odkrywa smutną rzeczywistość.

Postępowanie takie, do czego doprowadziło? oto pałace waszych marzeń, budowane na glinianych nogach, codziennie przywalają ciała waszych rodzin. Nawet kredyt w kraju i po za granicą, co dzień staje się niemożebniejszy. Dosyć, gdy który z was wymówi tylko: *aus Galizien*, aby hurtownik lub fabrykant nie użył najdotkliwszych obelg. Oto stanowisko, na jakie sprowadziliście nasze dziejowe kupiectwo; sukcesją po Wierzynkach, Bonarach i innych.

Prawda, że wyjątkowe i złe czasy, zdejmują może część winy. Główna jednak przyczyna upadku na was samych cięży.

Polki nasze nawet po dziś dzień w Paryżu były i są poszukiwane do wykonywania artykułów mody; bo zwykle po krótkiej nauce, przodowały rodowitym Paryżankom inteligencją wykończenia.

Handle nasze tak zwanych towarów krótkich i modnych, przedstawiają całe legje wyrobów, na które patrząc, nie można się z myślą pogodzić, że za te drobiazgi wydajemy bajońskie sumy, bawiąc się w towarzystwo dobroczynności za granicami kraju, gdy u nas do każdego prawie poddasza, co mówię, do wyższych już piętr puka codziennie nędza.

O ile się samokoszt utrzymania życia zwiększa — o tyle nam wypada z rąk możność zarobkowania.

Przy nadejściu pory zimowej, widzimy całe bele sprowadzanych robót włóczkowych, zawierające ubiorki dziecinne, jako to: trzewiczki, kamaszki, kaftaniki, zarękawki, czapeczki, jupki, sukienki. Wszystkie te przedmioty jest to ręczna praca kobiet, wykonywana po domach; czasami wymagająca również ręcznych maszynek. Artykuły te uzyskały stałe obywatelstwo, ulegają jedynie zmianie form. Oddział ten pracy kobiecej, przy dzisiejszej łatwości sprowadzania materjału, zasługuje na szczególną uwagę. Systematycznie prowadzony, wskrzesi stały i trwały zarobek w niezamożnych rodzinnych kołach, utrwalając na długo dobrobyt.

Tak samo, ma się rzecz ze znaczną częścią wyrobów szmuklerskich. Nie można nawet porównać stosunku potrzeb dawniejszych z dzisiejszemi, gdy te schodzą z pałaców aż do chat wieśniaczych. Prawda, że wiele z tych przedmiotów wymagają skomplikowanych i kosztownych maszyn, zkąd się dla nas nastręcza cały szereg niedogodności; ale jak powiadam, znaczna część wyrobów wymaga tylko ręki.

Do tego fachu mamy już wyuczone i udoskonalone Polki, które posiadając zasób inteligencji, zmuszone szukać przytułku na zachodzie, nie posiadając innych środków utrzymania, nie upadły na duchu, ale z odwagą właściwą

*

tylko naszej płci pięknej, zaczęły rywalizować z Francuzkami.

W Palais Royal w Paryżu jest może najpierwszy zakład w Europie wyrobu sukien damskich i strojów, pod firmą pani Gérard; która zaspokaja zachcianki i kaprysy najzamożniejszych cór Ewy. Ubiór od pani Gérard jest to niemal patent na dystynkcję towarzyską. Otóż i tam od roku 1865—1871 Polki nasze zyskały uznanie u wyroczni pani Gérard; i aż do wojny dostarczały najlepszych wyrobów szmuklerskich. Celowała w tych wyrobach pani Franciszka z Mittelstedtów Ligmanowa, która przez długi czas z pracy rąk utrzymywała nie tylko dom i chorego męża, ale w dodatku, otarła nie jedną łzę niedoli. Pani Ligman, zamieszkuje obecnie w Galicji. Nie posiadała ona żadnej maszynki pomocniczej oprócz dziesięciu palców.

Do działu kobiecego przemysłu domowego, zaliczyć muszę wyrób, który na oko zdaje się być podrzędnym, tak jednak nie jest; a tem są marzenia we śnie i na jawie małych dziewczynek — lalki; które oprócz zabawy, mają główny cel wzbudzać już w dziecku zamiłowanie do pracy i myśli na przyszłość.

Przejrzyjmy sklepy galanteryjne, a przekonamy się, że artykuł ten handlowy nie jest nic nieznaczącym, ale zasługuje na uwzględnienie i wyrób na miejscu. Widziałem w Niemczech i Francji specjalne zakłady, które oprócz lalek wszelkiego rodzaju, nic innego nie produkowały, zatrudniano tam po kilka set osób obojga płci, najwięcej jednak kobiet i dzieci od 10—16 lat. Właściciele tych zakładów byli to ludzie bardzo zamożni. Głowy sprowadzano ze specjalnych fabryk, a resztę wykonywano przez stosowny rozkład pracy na części. Dzisiaj dochodzi wyrób lalek do pewnego rodzaju artyzmu, pomimo trudnych czasów, ma rację bytu.

Dzisiejsza ucywilizowana lalka, szereguje cały zastęp specjalistów, które jej potrzeby toaletowe zaopatrują.

W Lipsku, Frankfurcie nad Odrą lub Menem, nic szczególnego spotkać hurtowników, fabrykantów, których specjalnością są przybory ubiorów dla lalek. Utworzyło się odrębne modniarstwo, krawiectwo, szewstwo, bizuternictwo itp. gałęzie, dla tych martwych liliputów.

My i za to wyrzucamy grosz po za progi naszych granic. (C. d. n.)

Przegląd literacki.

(*Ksawery Liske. Cudzoziemcy w Polsce. Lwów. 1876. str.* II *341.*)

Niezmordowany w pracach swych historycznych prof. Dr. Ks. Liske obdarza nas znowu dziełem o kilkuset stronnicach. Nie jest to jednak praca wyłącznie dla historyków z powołania podjęta, czytać ją może każdy, kogo opisy kraju naszego do czytania pobudzić mogą, kto lżejszej niż specjalna praca a cięższej niż powieść szuka lektury.

„Od dawien dawna — mówi autor w przedmowie — przybywali cudzoziemcy do kraju naszego bądź w celach handlowych, bądź w misjach dyplomatycznych lub z wyprawami wojennemi a w przeszłym wieku często także jako turyści.“ Ponieważ byli to prawie zawsze ludzie z głębszym poglądem na nowości w kraju naszym widziane, a zawsze prawie zapisywali szczegóły, których darmo byś po tak licznych nawet pamiętnikach szukał, przeto wydanie zupełne lub częściowe opisów tych jest bardzo potrzebnem. Otóż takiej to, nieraz z wielu trudami połączonej pracy podjął się autor. Niełatwa to bowiem rzecz wybrać z opowiadania tego lub owego podróżnika najcharakterystyczniejsze miejsca, aby nie zadrukowywać na darmo bibuły; trzeba znać dobrze całą literaturę pamiętników naszych, aby nie powtarzać tego, co już przez innych lepiej opowiedziane zostało. Tom ten pierwszy (który oby był początkiem dalszego ciągu) zawiera opisy samych Niemców. Każdy opis poprzedził autor stósowną przedmową o autorze opisu, o ważności i stopniu prawdopodobieństwa podań.

Pierwszym, otwierającym szereg, jest Liboryusz Naker sekretarz mistrza Krzyżaków Jana Tieffena który wraz z Wielkim Mistrzem odbywał pochód na nieszczęśliwą wyprawę wołoską w r. 1497 na rozkaz Jana Olbrachta. Jak cała wyprawa tak i pochód ten przedstawia wcale nie romantyczny widok, a śmierć Tieffena podczas wyprawy nastraja do smutnego tonu. Polacy nie obchodzą się z posiłkami Krzyżaków tak jakby słuszność wymagała, ale czyż żądać od Polski aby zapomniała w niedługim stosunkowo przeciągu czasu od pokoju toruńskiego o klęskach jakich od Zakonu przez blisko dwa wieki doznawała? Sympatja tedy nasza w tym razie jest tylko po stronie W. Mistrza a nie całego posiłku krzyżackiego. Naker opisuje ten marsz przez Polskę, zaczepki Polaków po drodze i nieszczególne położenie posiłku krzyżackiego, jaskrawemi barwy, uzupełnia on niedokładne wiadomości naszych dziejopisów, przynosi niejeden szczegół charakterystyczny i dla tego umieszczenie go tutaj przez autora ma całą słuszność za sobą.

Prawie połowę dzieła zajmuje opis Ulryka Werduma. Ulryk był Fryzyjczykiem a urodził się w r. 1632. Po zwiedzeniu kilku uniwersytetów i po działach majątkowych z resztą rodziny wyjechał w r. 1670 szukać szczęścia w świecie. W Trawemünde spotkał się z ajentem politycznym francuskim Jean de Courthonne abbé de Paulmiers, który miał poruczona misję przeprowadzić strącenie Michała Korybuta Wiśniowieckiego z tronu a zyskanie korony polskiej dla księcia Longueville. Z tym tedy wysłannikiem łączy się Werdum i przejeżdża w latach 1670—72 Polskę kilka razy wzdłuż i w szerz, aż śmierć ks. Longueville kończy misję Courthonne'a. Po wyjeździe z Polski bawi Werdum jużto w Szwecji, już Francji i Anglji; — po roku 1677 giną o nim wszelkie ślady. (Dok. nast.)

LISTY DO PRZYSZŁEJ NARZECZONEJ.

(*Ciąg dalszy.*)

Nie słyszałem też, ażeby w krajach, gdzie istnieją ograniczenia prawne dla osób nieposiadających dostatecznego utrzymania, ograniczenia te uważane były za niestosowne, za despotyczne krępowanie życzeń jednostkowych życzeniami państwa. Sądzę jednak, że tu chodzi nietylko i nietyle nawet, o wysokość dochodów w danej chwili ile raczej o uzdolnienie do zdobycia ich, że więc ograniczenia nie powinny polegać na martwem sprawdzeniu lub poręczeniu takiego a takiego dochodu — lecz na uznaniu, które zresztą bez osobnych egzaminów małżeńskich osiągnąć można, — na uznaniu możności pracy produkcyjnej w jakimkolwiek zawodzie. Ja naprzykład, marny literat, czułbym się bardzo pokrzywdzonym, gdyby mi prawo odmówiło ślubu, na tej zasadzie, iż nie mam żadnego stałego dochodu. Nie należąc bowiem do jednego pisma wyłącznie, nie mam stałej pensji, ani stałej roboty, lecz piszę i drukuję, kiedy mi się podoba, biorąc mniej lub więcej od wiersza, co mi przynosi w jednym miesiącu 100 zł., pol. a w drugim nieraz i 1,000. Jeśli się ożenię, będę pracował więcej, przyjmę jakieś stałe zobowiązania, ale co komu do tego, że dziś nie mam stałego utrzymania, skoro mogę złożyć dowody, możności pracy i możności zarobku? Gdyby prawo nie oparło się na tej zasadzie, — niejeden z głośnych powieściopisarzy, który w życiu swojem tyle małżeństw skojarzył na papierze—dlatego tylko, że nie jest jakimś referentem, sekretarzem lub czemś podobnem, nie mógłby zawrzeć rzeczywistego ślubu ze swą ukochaną, która pewno dostarczyła mu niejednego motywu i niejednego rysu do powieści, a tem samem była zarazem jednem ze źródeł jego dochodu. Nie, takim barbarzyńskim prawodawcą nie jestem. Niechaj ludzie klepią biedę kiedy chcą, niech jej tylko nie klepią z konieczności, choćby nie chcieli. Prawodawca od tego ma rozum, a ludzie od tego mają prawodawcę, ażeby nieraz mogli nie mieć rozumu, a jednak nie mogli popełnić głupstwa.

Co zaś do utrzymania po zawarciu małżeństwa, to środkiem jego powinna być zarówno praca męża jak i żony. Nie mówię tego w tem znaczeniu, ażeby żona miała koniecznie pracować po za domem, gdyż, jak wspomniałem, siły są różne — a wewnętrzna praca żony, wyrażająca się w gospodarności, porządku i dobrobycie domowym równie jest niezbędną, jak praca męża. Uważając małżeństwo jako spółkę, częścią ekonomicznej, chociaż przeważnie duchowej natury, muszę żądać wspólnej pracy, to znaczy — odpowiedniego jej podziału. Jeśli mi Pani na to odpowiesz, że żądanie to nie może dotyczeć wszystkich, ponieważ w małżeństwach majętnych, kobieta nie potrzebuje się sama zajmować domem, to ja ze swej strony ośmielę się zaprzeczyć temu. W gospodarstwie ubogiem, a więc malem, żona pracuje sama — w gospodarstwie zamożnem, a więc większem, może i musi się wyręczać gospodynią, ale bynajmniej nie przestaje również zajmować się domem; o ile bowiem zmniejsza się różnorodność pracy ręcznej, o tyle zwiększa się tu zakres pracy nadzorczej. Tylko więc rodzaj zajęcia, z bardziej ręcznego, staje się bardziej umysłowym. Nie uwierzę też nigdy, ażeby żona, czy to średniego, czy zamożnego małżeństwa, która ma dosyć czasu na codzienne wizyty, bale i koncerta — była dobrą żoną. Niech sobie kto mówi co chce; dobra żona przedewszystkiem czuwa sama nad wspólnym domem; a na to potrzeba czasu, bo to jest praca, tak dobrze jak naczelnika w biurze, albo inżyniera przy kolei. Nie ubliżyłoby jej też wcale, gdyby przytem posiadała jakąś umiejętność praktyczną, któraby, bez uszczerbku dla zajęć domowych, mogła być rozrywką a w potrzebie i źródłem zarobku.

W kwestji majątkowej jestem za zupełnem oddzieleniem kapitałów żony i męża. Ponieważ jednak małżeństwo jest spółką, wolno obojgu częściowo i za wspólną zgodą używać własnych funduszów na cele wymagające większego nakładu, ale stałem źródłem utrzymania powinien być tylko dochód męża i procent od kapitału żony. W ten tylko sposób może być ta ostatnia za-

bezpieczoną od nędzy, gdy mąż wskutek nieprzewidzianych okoliczności, albo wskutek zagalopowania się w przedsiębiorstwach, nieraz bez żadnej złej woli, straci wszystko. Ograniczanie się więc rozsądne w użyciu posagu przez męża jest koniecznem, i za takie też uznanem być powinno przez prawo zwyczajowe. Gdyby ono było powszechnem, nie byłoby przedewszystkiem tylu małżeństw dla pieniędzy tylko, na czem się kobiety zwykle zapóźno dopiero poznają — i nie byłoby tylu bankructw straszaych, jedynie przez nierozważne użycie posagu spowodowanych. Smutna to już bardzo okoliczność, jeżeli mąż potrzebuje obdłużać kapitał żony, żądając jej poręczenia lub pieniędzy — można ją tolerować, o ile w danej chwili stanowi jedyny ratunek, ale trzeba jej unikać zawczasu, przez rozważny rozkład wydatków.

Cóż powiedzieć, jeśli już nie mąż, który utrzymując dom, prędzejby mógł być usprawiedliwionym, ale żona, zamiast oszczędzać i strzedz wspólnego dobytku, marnuje grosz ciężko zapracowany na ogoniaste jedwabie, broszki, koronki i koki, kiedy miłości męża używa nie na polepszenie jego charakteru, lecz na wyzyskanie stron słabych? Przedmiot to oklepany, a przytem trąci kazalnicą — dajmy więc pokój morałom.

Chciałbym tylko poruszyć tu jeden punkt, od którego, zdaniem mojem, zależy w znacznym stopniu szczęście małżeńskie, a który zarazem rzuciłby światło i na kwestję zbytków w małżeństwie. Głównie obwiniamy o nie kobiety. Czy słusznie? Nie sądzę. Pominąwszy owe, potępienia godne wybryki bezmyślnych kobiet, większość ich w części tylko jest winną. Rozważmy bowiem dlaczego kobieta tak często nie czuje występności swego marnotrawstwa?

Niepodobna jest być oszczędnym, nie znając wartości pieniędzy. A panny nasze czy ją znają? Czy nie jest pospolitem, że panna dorosła w domu, nie ma żadnych swoich, przez siebie w jakikolwiekbądź sposób zarobionych pieniędzy, że wszystko dla niej sprawiają rodzice, że tylko oni za wszystko płacą i o wszystkiem pamiętają. Zkądże, pytam się tedy, panna, nie mająca najmniejszego pojęcia o dochodach ojca, o wydatkach ojca i matki, nienauczona praktycznie, doświadczalnie, jak i wiele potrzeba pracować, ażeby mieć 100 złotych — zkąd panna taka może mieć poczucie rządności i oszczędności? Ona w takiej szkole uczy się tylko jednej rzeczy: wypraszać sobie nowe sprawunki przymileniem i pieszczotami — a czyż można jej brać za złe, że nie czując wewnętrznie, doświadczalnie, wartości pieniędzy, chce sobie uprzyjemnić życie w sposób, jaki uważa za najlepszy?

A teraz zobaczmy, jaka jest różnica tam, gdzie panna rozsądnie jest wychowaną. Oto przedewszystkiem, z chwilą, gdy zaczyna dojrzewać, nie uważają jej wyłącznie za kosztowny okaz panny na wydaniu, za lalkę z wystawy sklepowej, lecz za przyszłą gospodynię, żonę, matkę, obywatelkę. Pozwalają jej wiedzieć o wszystkich pożytecznych dla niej szczegółach, dotyczących majątkowego stanu rodziców; dziewczęciu to pochlebia i budzi szlachetną dojrzałość poglądów. Matka wspólnie z córką dzieli kłopoty zarządu, obznajmia ją z tem ile co kosztuje i jak można oszczędniej a jednak porządnie gospodarować — uczy ją doświadczeniem, jak za te oszczędzone pieniądzie z funduszów danych na dom przez ojca, można zapewnić sobie przyjemne rozrywki, nowe ubranie, wycieczkę letnią, lub dobry uczynek. Młoda panna, uczona przez wiele lat, poznaje sama ważność tej nauki, ponieważ pozwalają jej uczyć młodsze rodzeństwo, lub nawet obce dzieci, raz dla własnego ćwiczenia się w naukach, w muzyce, lub językach, a powtóre, ażeby jej udzielić tę zapłatę, którąby obcy wzięli, a której wartość będzie wtedy umiała ocenić. Wreszcie uczą jej tych umiejętności praktycznych, które kobiecie są bardzo potrzebne, jak np. kroju i szycia bielizny i sukien. Panna, która sama sobie umie skroić i uszyć suknię, chociażby tego później nie czyniła, potrafi ocenić, że szkoda jest przepłacać za to, co samemu sobie bez utrudzenia zrobić można, potrafi przynajmniej *uznać zbytek* w sprawianiu modnych fatałaszków.

Byłoby to wręcz przeciwne wszelkim prawom umysłowej natury ludzkiej, gdyby panna w ten sposób wychowana miała stać się żoną marnotrawną. Ale może kto zarzucić, że skoro nam tu chodzi o pożycie między małżonkami, to nie w miejscu jest dawać rady pedagogiczne: jak obecna żona miała być wychowaną, gdy była panną? Przyjmuję ten zarzut i zaraz z niego skorzystam. Dla mnie małżeństwo jest także szkołą życia, w której uczniami i nauczycielami zarazem są młodzi małżonkowie. Jeżeli mąż chce, ażeby żona nieprzyzwyczajona w domu rodzicielskim do oszczędności, stała się oszczędną i gospodarną, to powinien jej tego nauczyć. Czy może ma jej dawać lekcje buhalterji i czytywać dzieła Smilesa? zapytasz Pani. Nie byłoby w tem nic złego — ale to nie jest środek zasadniczy. Teorja oszczędności, będzie zawsze tylko teorją — a umiejętność buhalterji będzie tylko umiejętnością — ani jedna ani druga nie wytworzą przecież *poczucia* potrzeby i korzyści rządności. Dla wywołania czynów świadomych potrzeba uczuć, na własnem doświadczeniu opartych; kobieta, której nie uczono *w życiu* obserwować i wnioskować porządnie, która w życiu nie czuła błędów pedagogiki — nie skorzysta nic z przeczytania najlepszych podręczników pedagogicznych. Tak samo i w tej kwestji. Jest zaś rzeczą dość powszechnie przyjętą, że mąż daje tylko na utrzymanie domu, ale bynajmniej *nie wtajemnicza żony we wszystkie źródła swoich dochodów, w stan swego majątku i w swoje przedsiębiorstwa pieniężne.* Byłoby to nieraz zbytecznem w szczegółach — ale jest *koniecznem*, przynajmniej w ogólnych zarysach. Ktokolwiek w ten sposób obudzi poczucie wspólności w sercu kochającej żony, może być pewnym, że nietylko ją ochroni od bezmyślnych zachceń zbytkowych, ale co więcej sam zyska prawdziwie serdeczny nadzór nad swemi nierozważnemi projektami. Żona więc bezwarunkowo powinna znać majątkowy stan męża i powinna być we wszystkiem duchowym wspólnikiem jego przedsięwzięć i postanowień. Tylko w ten sposób trafia się do serca i do rozumu; a wtedy wszelkie nawet morały i perswazje będą zbyteczne — wystarczy prosta, z serca płynąca uwaga.

Nakład na cele domu będzie się mógł powiększać stopniowo, wydatki na przyjemności będą szły równolegle ze wzrostem dochodów i rachunki od modniarek nie naruszą nigdy domowego spokoju — co daj Boże. Amen.

Pozostaje mi jeszcze rozbiór trzeciego warunku, t. j. harmonji duchowej, warunku, który w części sam zastąpić może dwa pierwsze, nie mogąc być przez nie zastąpionym; ale nie chcę nadużywać uwagi Szanownej Pani i załączając wyrazy poważania, odkładam ten przedmiot do następnego listu.

* *

Na drugi dzień po wysłaniu tej korespondencji odważyłem się na wizytę, i ku wielkiemu zdumieniu, zamiast reprymandy, usłyszałem serdeczne słowa powitania. Matka tylko pogroziła mi palcem, ale cała sprawa skończyła się wśród wesołej pogadanki; przyczem przeprosiwszy matkę, „zmuszony“ byłem także ucałować rączki córki, co ją trochę zażenowało, ale ostatecznie wywołało tylko lekkie ożywienie i dziwnie ujmujący uśmiech na świeżej twarzyczce. Czując się bezpiecznym, począłem swobodną rozmowę, do której treści dostarczyły nam moje listy — a rezultat był taki, że wcale nie myślałem wracać do domu; jedna tylko rzecz skłoniła mnie nareszcie do wyjścia, a była nią myśl, że żegnając się, będę miał sposobność powtórnie ucałować rączki mojej przeciwniczki, której zarzuty stawały się coraz słabsze, ale zato spójrzenia coraz niebezpieczniejsze.

Biegłem do domu tak, jakby mnie kto na sto koni wsadził; nuciłem wyjątki z oper i walce Straussa, a cały świat wydawał mi się marną figurą, wobec uroczego wspomnienia, które nie opuszczało mojej wyobraźni. I jak pierwej pytałem: wojna czy pokój? tak teraz jedna tylko zajmowała mnie kwestja: kocha, czy nie kocha?

Ażeby ten problemat rozstrzygnąć, zacząłem rozważać, co to jest miłość i jak się ona poznaje. Najzabawniejszem jednak z tego wszystkiego było to, że zamiast spojrzeć na samego siebie i metodą obserwacji dojść do wniosków, jak się miłość objawia, zacząłem kombinować różne metody teoretyczne i różne drobne okoliczności z zachowania się mojej panny, nie myśląc wcale o tem, żem sam był już zakochany po uszy.

Metodą, którą wreszcie wybrałem była następująca:

Trzeba sprawdzić, czy panna daje mi pierwszeństwo przed innemi.

W ciągu kilku tygodni, w których odwiedziny moje częściej się powtarzały niż zwykle, pod pretekstem pożyczania pism i książek, trafiła się doskonała, jak mniemałem sposobność, bo matka mojej panny wydawała wieczorek tańcujący i sporo osób zaproszono.

Gdym wszedł do salonu, towarzystwo już było zebrane, wkrótce rozpoczęły się tańce; panna była wyjątkowo wesoła i swobodna, rozmawiała ze wszystkiemi, uśmiechała się do wszystkich — tylko w obec mnie jednego zachowywała dziwną powagę. W mazurze wybierała wszystkich z wyjątkiem mnie i tylko na pożegnanie, ściskając mi rękę prosiła, bym nie dał czekać na siebie.

Na mnie ten wieczór zrobił jak najgorsze wrażenie. Wściekłość mnie porywała, gdym patrzył na zaloty innych, przyjmowane tym rozkosznym uśmiechem, o którym mniemałem, że mnie się tylko należyć powinien, i ostatecznie rezultat zastosowania mojej metody streściłem w jednym przygnębiającym wyniku:

— Nie kocha!

Pomimo to, następnego dnia uczułem gwałtowny obowiązek dowiedzenia się o zdrowiu pań. Nie myślały wcale chorować, ale nie zadziwiły się mojem przyjściem. Rozmawiałem z panną, gdy wzrok mój padł na okrągły czerwony przed-

miot, podobny do poduszki, leżący na stoliczku przed oknem i otoczony różnemi przyborami.

— Co to jest? spytałem.

Panna zarumieniła się zlekka i odpowiedziała pokrywając zmięszanie uśmiechem:

— Nudziło mi się w domu, więc zaczęłam się uczyć drzeworytnictwa...

Jakiś rozkoszny dreszcz przebiegł mnie po ciele; już miałem wymówić wyraz: „dziękuję,“ gdym spostrzegł, że popełniłbym głupstwo i ugryzłem się w język.

— Czy pan nie pochwala tego zamiaru? spytała ze swej strony.

Zamiast odpowiedzieć spojrzałem jej w oczy i spojrzenia nasze złączyły się na chwilę, krótką, ale tak rozkoszną, że jej chyba w piekle nie zapomnę. Milczenie moje żenowało ją widocznie, i chcąc je przerwać zagadnęła nagle:

— Ale pan, jak widzę, zapomniał o przyrzeczeniu, i wcale nie myśli o dalszym ciągu listów, a ja i mama jesteśmy bardzo ciekawe co nam pan powiesz o harmonji duchowej w małżeństwie. — Przyrzekłem poprawę a żegnając się pocałowałem podaną rączkę przeciąglej niż zwykle.

Wychodząc, widziałem jeszcze przez uchylone drzwi salonu, jak stała jedną ręką o stół oparta, spoglądając zamyślonemi oczyma na dłutka i drzewka rozrzucone koło poduszeczki.

Oj te oczy, te oczy! (C. d. n.)

POGADANKI.

XXV.

Rok temu, minister wyznań i oświecenia wydał okólnik do władz politycznych, a zapewne także i do ordynarjatów biskupich, w którym zwraca uwagę na upadek malarstwa religijnego, stanowiącego integralną część tego, co Rodakowski w wykładzie swoim nazwał „wielką sztuką“. Minister polecił organom swoim wywieranie wpływu w tym duchu, ażeby przez zamawianie obrazów do kościołów popierano rozwój tej gałęzi malarstwa i zachęcano młode talenta. W poprzednim numerze *Tygodnia* przytoczyłem fakt, który dowodzi, jak mało skutku odniosła odezwa p. ministra. Fakt ten nie jest izolowanym, z wyjątkiem bowiem ks. Dominikanów w Żółkwi i kilku prywatnych fundatorów, w całej naszej wschodniej części kraju od wielu lat nikt już nie zamówił do kościoła ani obrazu oryginalnego, ani nawet lepszej kopji. Do tych rzadkich wyjątków zaliczyć należy pp. Chajęckich w Żurawnie, którzy polecili p. Gałuszkiewiczowi wykonanie kilku kopij arcydzieł włoskich dla nowowybudowanego kościoła w tem miasteczku. Kopje te wypadły bardzo dobrze, bo jak mieliśmy sposobność przekonać się na wystawie obrazów we Lwowie, p. Gałuszkiewicz posiada talent odpowiedni do prac tego rodzaju. W ogóle atoli, jeżeli w całym świecie malarstwo religijne upada, to można powiedzieć, że Galicja Wschodnia w tym kierunku równie jak w wielu innych przoduje w dekadencji. Być może, że gdzieindziej indyferentyzm religijny jest przyczyną upadku, u nas atoli daremnie usiłowałyby pisma klerykalne kłaść go na karb „ducha czasu“ — któż będzie malował obrazy religijne, skoro nawet tak bogato uposażone kapituły, jak lwowska, kontentują się ladajakiemi *bohomazami*, taksowanemi na łokcie kwadratowe.

Dawniej książęta kościoła pokładali pewien rodzaj szlachetnej dumy w tem, ażeby zostawić potomności portrety swoje, malowane przez pierwszorzędnych mistrzów. Gdy rodacy nie poświęcali się malarstwu, szukano sławnych artystów za granicą. Dziś i pod tym względem nastąpiła zmiana na gorsze. Mniejsza o to, że śp. ks. Jachimowicz lub ks. Kuziemski dali się wysmarować na fjoletowo jakiemuś Niemcu, którego utwory w sali Domu Narodnego każdemu widzowi najeżają włosy na głowie. Święty-Jur w ogóle nie jest przybytkiem, o którym moglibyśmy się spodziewać, że wyjdzie z niego coś podobnego do kultu piękna, prawdy, lub dobra. W tej mierze rezygnacja jest na swojem miejscu. Natomiast możnaby się spodziewać, że łacińcy i ormiańscy księża biskupi skorzystają z tego, że mamy w kraju kilku portrecistów, słusznie w całym świecie wsławionych. Gdzie tam! Niektórzy z nich dali się portretować w Wiedniu, zapłacili nawet drogo za obrazy, ale udali się do jakichś partaczów, których nazwiska zupełnie są nieznane po za kołem uczestników tak zwanych *Künstler-Narren-Abende*, a których utwory trzeba chować przed okiem ludzkiem, ażeby się nie kompromitować. Takiej to zachęty doznaje u nas sztuka w ogóle, a sztuka polska w szczególności.

* * *

W rozmaitych dzielnicach naszej ojczyzny wyrabiają się pod wpływem obczyzny, rozmaite djalekta mowy piśmiennej i potocznej. W Galicji mamy ich kilka, jest np. polszczyzna urzędowa, koszarowa, municypalna. W Poznańskiem dążność do zachowania czystości języka wywołała po części dziwolągi puryzmu, a po części przecież język ten uległ skażeniu. Na Litwie i w Zabranych krajach, a w nowszych czasach i w Królestwie, odzywają się w zwrotach mowy, przykre echa moskiewskie. Obok tego wszystkiego wyrabia się za Atlantykiem, hen daleko, nowy żargon polsko... angielski. Ciekawe studja nad tem nowem narzeczem można robić, czytając dzienniki polskie, wychodzące w Zjednoczonych Stanach, a mianowicie, ich część inseratową. Oto parę przykładów.

Towarzystwo żeglugi parowej ogłasza przez swego ajenta p. Antoniego Sherman, że każdy z jego okrętów zaopatrzony jest „w dziesięć pływadeł więcej do każdego czółna, jak po zwykłych innych okrętach, i w 900 pławideł.“ Co to jest pływadło, a co pławidło, i jaka jest różnica między pływadłem, a pławidłem?

To samo Towarzystwo donosi, że jego biuro tykietowe znajduje się w Dworcu.

Lejarnia w Arlington Heights ma do sprzedania wyborne loty po 100 dolarów. (*Ticket*-bilet, *lot*-akcja, los, udział.)

Szymon Dzieniszewski, w Grand Rapids, Michigan, poleca swój dom gościnny, *saloon*, i skład korzenny.

Ceny targowe: *latowa* pszenica 1, 35. *Korn* 44. Kartofle 1.15 za buszel.

Jenetta de Benoit. Bardzo mądra doktorka, czyli lekarka. Na każdej chorobie zna się dobrze i wszystkie tajemne rzeczy każdemu wyjaśni. Wie sprawy małżeńskie i wszystkie stosunki dziecińskie. Mówi wszelkiemi językami i mieszka 188 S. Halsted Street, Chicago.

Tawerna Polska W. Nowackiego, znajduje się w Nowym Jorku, Trzecia Ulica, 106.

Redaktor Gazety Polskiej upoważnia p. Franciszka Kowalskiego w South Bend, Indjana, odbierać pieniądze za posłane i za żądające książki.

Jak widzimy, *habent sua fata* — książki i mowy ludzkie. Ale na każdy sposób zajmującym wielce jest obraz życia polskiego na drugiej półkuli świata, jaki można mieć przejrzawszy taki dziennik. Nas nazywają tam „starym krajem“. Prenumerata „*Gazety Polskiej Chicago*“, wychodzącej co czwartek, wynosi w Europie trzy dolary — tj. 7 $^1/_2$ guldena rocznie. Jest to pismo bardzo poczciwe i patrjotyczne, i zajmuje się gorliwie sprawą ojczystą tak w nowym, jak i w starym kraju, a przytem ma wiele do walczenia z ultramontanami polskimi, którzy obrali sobie siedzibę w Nowym Jorku i wydają tam inne pismo, niby „katolickie“. Może kto z czytelników naszych, bodaj z ciekawości, poprzeć zechce to wydawnictwo zamorskie. Prenumeratę przyjmują wszystkie urzęda pocztowe, należy tylko wypisywać adres bardzo wyraźnie.

Jan Lam.

BIBLIOGRAFJA

polska.

Chomętowski Wład. Synowie Hetmańscy. Opowiadanie historyczne. 2 tomy, str. 238, 216. Warszawa 1877. 4 złr.

Dobrzycki Henryk. O kołtunie pospolicie „plica polonica“ zwanym. Z 24 drzeworytami w tekście. 8ka str. 300. Warszawa 1877. 3·75.

Eguilas L. Grazalema. Dramat w trzech aktach. Przekład Seweryny z Żochowskich Duchińskiej. 8ka. str. 123. Warszawa 1877. 1·25.

Figuier Ludwik. Najważniejsze odkrycia i wynalazki w dziedzinie nauk, sztuk i przemysłu. 8ka. str. 279. Warszawa, 1876. Oprawne 3·75. To samo w płótno ang. oprawne 4·25.

Gralewski Mateusz. Kaukaz. Wspomnienie z dwunastoletniej niewoli, opis kraju, ludów, ich zwyczaje i obyczaje, zeszyt II. 8ka str. 81 - 160. Lwów, 1877. 1 złr.

Izdebska Władysława. Praca bogactwem. Powieść dla dorastającej młodzieży oryginalnie napisana. 8ka, str. 276. Warszawa 1877. Oprawna 1·70.

Jeleński Jan. Żydzi, Niemcy i My. 8ka. str. 82, (drugie wydanie). Warszawa 1877. 1·10.

Majewski Karol i Jastrzębowski W. Tom I. Zasady rolnictwa. Z portretem Seweryna Zdzitowieckiego. Tom II. Historja naturalna ziemiańska. Z portretem Wojciecha Jastrzębowskiego. Tom III. Ogrodnictwo. Z portretem M. Oczapowskiego. 8ka. str. 624, 591, 624. Warszawa, 1877. 10 złr.

Szlosser F. K. Dzieje powszechne. Zeszyt 105 i 106. 8ka. Tom 17. Str. 513—658 i tom 18, str. 44. Lwów, 1877.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Listy z kraju.

(Odpowiedź autorowi korespondencji z Rohatyńskiego.)

Z Ropczyc.

Dobry gospodarz dba o swój inwentarz, aby tenże w dobrym znajdował się stanie; stara się zatem o wszystkie jego potrzeby, nie przeciąża go pracą zbyteczną, bo wie, że liche żywienie, niedbalstwo o jego potrzeby, męczenie go nad siły, uczyni go rychlej lub później niezdolnym do posług; sobie a nie komu innemu wyrządzi stratę.

Gospodarz — to nasz kraj i jego reprezentacja Rada szkolna krajowa; inwentarz — to nauczyciele ludowi. Przypatrzmy się teraz, jak ten gospodarz dba o swój inwentarz!

Ustawy z roku 1873 przyznają nauczycielom 250 w szkołach filjalnych, w innych zaś 300 złr. Otóż każdemu posłowi, każdemu radcy dałbym chętnie te 250 lub 300 złr. uwalniając go już od wszelkiej

pracy i odpowiedzialności, aby tylko z tych pieniędzy mógł wyżyć przez jeden rok z familją. Jeżeli po roku osiwiały od trosk i wychudły od głodu nie zrezygnuje ze swej synekury, to niech mię kto chce nazwie kłamcą.

Nauczyciel ludowy, który wszystko umieć musi, który wszystkiego uczyć jest obowiązany, winien i tę posiadać sztukę, umieć żyć słowem bożem. Bo tego słowa Rada szkolna kraj. nie skąpi, obdziela niem nauczycielstwo aż do przesytu, o tem jednak później.

Wątpię, czy nasi ojcowie narodu mają choć słabe pojęcie o nędzy nauczycieli ludowych a szczególnie miejskich. W naszych miasteczkach mamy szkółki o paru nauczycielach, którzy nie mając pomieszkania bezpłatnego, z tych 300 reńskich i mieszkanie jeszcze opłacić sobie muszą. Cóż ztąd wynika? Nauczyciele uciekają co rychło z takich posad, które czasami długo zostają opróżnione. Któż na tem traci? Nauka szkolna. Jakie środki posiada Rada szkolna w swej ręce, aby zachęcić nauczycieli do poświęcania się z wytrwałością zawodowi? Żadnych.

Często nauczyciel sumienny, gorliwy pracuje lat kilka z korzyścią dla oświaty ludowej, odbiera nawet od władz należące mu się pochwały, w końcu atoli nie mając znikąd żadnej zachęty, nie widząc żadnego bodźca do dalszej pracy — prócz zapłaty w niebie, zniechęci się nareszcie. Urzędnicy państwowi mają awans przed sobą, urzędnicy kolejowi prócz awansu pobierają tantjemy jeszcze, oficjaliści prywatni mają gratyfikację, a cóż mają nauczyciele ludowi, którym kraj za ich pracę nawet pięcioletnich dodatków odmówił, chyba za to, że mieli to nieszczęście być nauczycielami przed wprowadzeniem ustaw nowych, które jednak każą biedakom płacić od nowych i dawnych płac stosowne procenta na emeryturę, ażeby koniecznie przed dojściem do emerytury z głodu umarli.

Najsmutniejsze atoli w tem wszystkiem, że Rada szkolna nie stara się oto, żeby rzeczy zmienić na lepsze. Towarzystwa pedagogiczne, konferencje nauczycielskie wypowiadają otwarcie, czego koniecznie nauczycielom potrzeba, nie słyszymy atoli, aby Rada szkolna popierała te głosy wobec kraju, albo sama dała inicjatywę w tej mierze. Jeżeli od której władzy, to od Rady szkolnej kraj. winni nauczyciele oczekiwać poparcia, inaczej albo Rada szkolna jest zdania, że nauczyciele nie warci opieki, albo życzy sobie *status quo*.

Często słyszymy narzekających na niezdolność nauczycieli, na brak wykształcenia tychże, a nawet na inne ujemne przymioty itd. Czy 250 lub 300 zlr. zachęcą człowieka pilnego i zdolnego do poświęcenia się zawodowi nauczycielskiemu? Zdaje mi się, że niedługo i takich nauczycieli braknie — jacy są obecnie. Niech tylko podniesie się przemysł krajowy, a zobaczymy połowę posad nauczycielskich opróżnionych. Już dzisiaj niektóre seminarja nauczycielskie, aby próżne ławki zapełnić, zrobiły konkurencję rzemiosłu, przyjmując młódź od warsztatów do klas przygotowawczych, po latach 4 będziemy mieli z nich nauczycieli ludowych, którzy o tyle będą szczęśliwsi od teraźniejszych, że w razie, gdyby ich kraj tak karmił jak obecnie, odwrót będą mieli ułatwiony.

Żądajcie od nauczycieli pracy, nauki — ale starajcie się ich stosownie wynagrodzić; inaczej wszystkie narzekania będą bezpodstawne.

Jan Książek.

Literatura i sztuka.

— Nakładem księgarni F. H. Rychtera zaczęła wychodzić zeszytami „Bibljoteka historycznych romansów polskich," która ma objąć dziś już prawie nieznane utwory: Bernatowicza, Bronikowskiego, Skarbka i innych. Tygodniowo wychodzić będzie jeden zeszyt kosztujący 25 ct., a nadto prenumeratorowie otrzymają premje. Wydawnictwo to zasługuje na poparcie, a przystępnem będzie dla najmniej zamożnych.

— Dowiadujemy się, że znany artysta-rysownik p. Andriolli zajęty jest obecnie ilustrowaniem marsza żałobnego (Szopena) do słów Ujejskiego.

— Nakładem Żupańskiego w Poznaniu wyszło obszerne i ciekawe dzieło bezimiennego autora o legjoniście włoskim Amilkarze Kosińskim.

— Pani Helena Modrzejewska przyjęła na siebie bardzo trudną i oryginalną rolę, chce bowiem ni mniej ni więcej, tylko założyć nową kolonję polską w Ameryce. W tym celu wraz z mężem swoim i z kilku towarzyszami podróży zakupiła 44 akry ziemi pod San Angelo w Kalifornii.

— Komedja konkursowa „Pan Damazy" czytana na zebraniu komitetu krakowskiego, powszechnie się podobała. W ogóle dobrze wróżą konkursowi.

— Rozprawa p. Jana Jeleńskiego pt. „Żydzi, Niemcy i My" w ciągu kilku miesięcy została wyczerpaną i obecnie ukazało się nowe jej wydanie.

— P. Rodoć znany tłumacz Bérangera wydał obecnie trzeci zeszyt oryginalnych swoich piosnek, który jednak natychmiast skonfiskowała prokuratorja w Krakowie, zanim przeszedł w handel księgarski. Korzystając z pozwolenia autora drukujemy w dzisiejszym numerze jedną piosnkę z tego zbioru.

— „Kurjer Poznański" odzywa się z wielkiemi pochwalami o śpiewie panny Ludmiły Ostoja (Mirkowskiej), która po długim pobycie za granicą wróciła do kraju i niedawno dawała koncert w Poznaniu.

— P. Eustachy Petion, inżynier, wydał broszurę pt. „Nowa broń, torpile niebieskie" (właściwie powietrzne), w której proponuje użycie w celach wojennych rac z nabojem nitrogliceryny, któreby pękając nad głowami nieprzyjaciela, przez samo wstrząśnienie powietrza sprowadzać mogły straszliwe skutki. Zachodzi tylko pytanie czy race takie nie pękałyby przedewszystkiem nad głową tego, który je rzuca?

— Wkrótce wyjść ma na widok publiczny „Pamiętnik Jana Władysława Poczobuta Odlanickiego," z autografu przepisany i przypisami uzupełniony przez Leona hrabiego Potockiego, a obejmujący w sobie perjod czasu od r. 1640 do 1684. Zawiera on zatem w sobie mniej więcej tę samą epokę, co pamiętniki Jana Chryzostoma Paska, i wraz z niemi daje nam ciekawy obraz ówczesnego stanu kraju i ważnych zaszłych wtedy wypadków dziejowych. Dzieło to wychodzi na widok publiczny nakładem i staraniem bibljoteki ordynacji hrabiów Krasińskich w drukarni Ziemkiewicza.—Drugą nowością bibljograficzną jest powtórne wydanie „Monografji historyczno-genealogicznej niektórych rodzin polskich," opracowanej przez Stanisława Kazimierza br. Kossakowskiego, a uzupełnionej przypisami Bleszczyńskiego, znanego z prac na polu heraldyki. Nowe to wydanie, przez autora zostało znacznie powiększone i dopełnione ważnemi historycznemi szczegółami. Obadwa te dzieła, mające niedługo wyjść na widok publiczny, drukują się w zakładzie p. Ziemkiewicza.

— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności urządza 12 odczytów publicznych w wielkiej sali Ratuszowej na rzecz instytucyj zostających pod opieką tegoż Towarzystwa. Panowie prelegenci obiecali swój udział w odczytach w następującym porządku: 1) w dniu 23 lutego p. K. Benni dr. med. miał odczyt p. n. „Kobieta-lekarz"; 2) w dniu 2 marca p. J. Wszebor dr. med. „O śnie, i jego znaczeniu; 3) w dniu 9 marca p. J. K. Gregorowicz „O typach ludowych warszawskich (szkice i obrazki)"; 4) w dniu 16 marca p. A. Pietkiewicz (A. Pług) „O tradycji w powieściach Chodźki"; 5 i 6) w dniu 23 i 27 marca p. Lasocki dr. „O powietrzu i oddychaniu"; 7) w dniu 5 kwietnia p. E. Plitz „O kolonjach robotniczych w Milhuzie"; 8) w dniu 9 kwietnia p. A. Pepłowski „O kobiecie ze stanowiska prawnego"; 9) w dniu 12 kwietnia p. A Kraushar „Historja nędzy"; 10) w dniu 15 kwietnia p. N. Milicer „O pargaminie roślinnym"; 11) w dniu 19 kwietnia p. J. Grajnet „O znaczeniu prac i pomysłów W. Jastrzębowskiego"; 12) w dniu 22 kwietnia p. Bolesław Prus odczyta „Obrazek humorystyczny."

— Dnia 26. lutego w 75tą rocznicę urodzin Wiktora Hugo wyszedł w Paryżu dalszy ciąg jego „Legendy Wieków." Z pośród wielu wspaniałych ustępów tego utworu jeden szczególniej zwrócił uwagę naszych poetów i wywołał współcześnie aż dwa przekłady przez równie dzielne pióra podjęte. Jednym z tłumaczów jest p. Wacław Szymanowski, drugim p. Klemens Podwysocki. Sądzimy, że ciekawem będzie dla czytelników zestawienie obu tych przekładów:

Po klęsce Kaudyjskiej.

Bogi! Rzym był zbyt wielki, a więc z chwały szczytów
Chcieliście żeby przeszedł pod jarzmem Samnitów.
I my którzy żyjemy należymy do tych
Co widzieli tę hańbę. O promieniach złotych
Jutrzenka, świeci co dnia nad grodem Nioby,
I na ludowych igrzysk pole, kędy groby
Eskwilińskie, tłum Rzymian wynurza się co dnia;
A ja tam chodzę z wzrokiem utkwionym w przecho-
(dnia
Każdego, bowiem pole to, granicą swoją
Przytyka do namiotów kędy wojska stoją.
Kwiecień się śmieje, śpiewa ptaszek, a tam zdala
Od wstającego słońca światła płynie fala
I róże leśne świeżą witają je wonią...
Słychać surmy bojowe co pobudkę dzwonią.
Więc tam siadam na głazie i dumam ponury
Długo, długo.
Dziś słońce skryło się za chmury
Bo kir chmur tak znienacka czasem niebo słoni.

Nagle przedemną w lśniących zbrojach z włócznią
(w dłoni
Przejechali żołnierze bojowo przybrani.
A byli to z obozu krzepcy weterani,
Którzy gdzieś podążali na harce orężne.
Przodem szło trzech trębaczy i w trąby mosiężne
Dęli silnie, wciąż głosy dobywając krzepsze,
A gdy jeden ustawał drugi dął w najlepsze —
Tak, że hasło bojowe brzmiało wciąż. Z doliny
Głos szedł w góry. Były to dzielne Marsa syny
Z twarzami zczerniałemi od słonecznej śniedzi.
Głowy Meduz zdobiły ich puklerze z miedzi
I na szyszakach Gorgon połyskały twarze.
Więc szli wojennym krokiem ci starzy mocarze
A widok był wspaniały razem i straszliwy
Ich pióropuszów lwiemi jeżących się grzywy.
Więc dziewczęta mówiły: „Jakże piękni oni!"
I wśród uśmiechów wiosny, pośród kwiatów woni
Ziemia rwała się w górę do słońca promieni...

A ja płakałem, — bo to byli zwyciężeni.

Po „Jarzmie Kaudyńskiem."

Roma w laurach zbardziała — i wyście ją, bogi,
Skarały przez Samnitów niecny tryumf. Srogi
Ten wstyd Romy, my ludy po dziś dzień żyjące,
Widzimy. A pomimo to, promienne słońce
Stroi Romy kurhany w złotą aureolę.
Przy grobach Eskwilińskich, tuż wyścigów pole,
I gdy na nie tłum ciągnie roiskiem szerokiem,
Przychodzę tu, z utkwionem w owe tłumy okiem.
Przy polu tuż namioty, — a przed niemi świecą
Kohorty, w zbroi całe, jakby przed fortecą;
I kwiecień się uśmiecha, ptactwo śpiewa — w dali —
Za wzgórzami, gdzie ranek w płomieniach się pali,
I róże otwierają wonne swe kielichy,
Dźwięk surmy się odzywa złowrogi, acz cichy; —
A ja — dumam wzruszony. Dziś tam byłem; słońce
Nie wiem czemu się skryło w mgły poranku drżące;
I chmury coraz szerzej rozwijały żagle: —
A oto — weterani... — Zkąd wyrośli nagle?
Na koniach, w dłoniach dzidy, ramiona — ogromy,
Ogorzali, żołnierze rzekłbyś, dawnej Romy.
Dziatwa za nimi biegła, radując się szczerze.
Na czele zaś idący trzej silni żołnierze,
Dmą w trzy trąby mosiężne. Każdy w kolej, za się
Do ust surmę przykładał, tak, że w każdym czasie
Fanfara brzmiała raźno, acz odpoczywali.
Pyszni byli na polu, ci ludzie ze stali.
Szli krokiem światowładnych, zwycięzkich rycerzy.
Twarz Meduzy, dewizą była ich pancerzy —
I Gorgona i inne straszydła. Z ochotą
Szli rycerską, wstrząsając kitą kasków złotą;
Godni promieni jasnych budzącej się zorzy,
Z grzywami lwów, na które wciąż wicher się sroży.
„O, jak piękni ci ludzie!" Chór Rzymianek woła.
Wszystko było uśmiechem i wonią dokoła —
Lud był wesół — a błękit stał w słońcu wspaniałem...

Na myśl, że to — zwalczeni, tylko ja płakałem.

Oba te przykłady posiadają wielkie zalety, lecz co do nas, pomimo iż p. Podwysocki odznaczył się już niejednokrotnie, i to właśnie w przekładach Wiktora Hugo, oświadczamy się jednak za pierwszem tłumaczeniem.

Sądźcie czytelnicy!

ROZMAITOŚCI.

— Popyt na zwierzęta morskie do ogrodów zoologicznych coraz bardziej wzrasta i z tego powodu nie będą od rzeczy niektóre ciekawe szczegóły tyczące się sposobów łapania słoníow, nosorożców i innych zwierząt stref gorących. Pierwszy Casanowa, właściciel niegdyś pięknej menażerji, dał początek handlowi zwierzętami wschodnio-afrykańskiemi. Za przykładem Casanowy poszli wnet inni, widząc że handel wcale zyskowny. Kupcy europejscy udają się zwykle do Egiptu przez Suez i morze Czerwone, mianowicie do miasta Suakin, w południowej Nubji, do Arabów Homranu, słynnych myśliwych, używających do łowów jedynie tylko miecza i powrozów; prowincja wspomniana, szczególnie nad rzekami Atbarą i Setit, obfituje w najrozmaitsze zwierzęta, tak ciekawie oglądane przez nas. Puszczają się w podróż z Europy jesienią, tak aby stanąć w Suakin w porze najdogodniejszej do łowów, a mianowicie w porze gdy ciągłe deszcze tam padają, w porze bowiem deszczowej najłatwiej łapać młode zwierzęta. Kupcy wszakże nigdy nie polują sami, rzecz tę zostawiają arabom z Kasali, Homran, lub innych wiosek okolicznych, a sami, wydawszy rozporządzenia o jakiego zwierza Arabi mają się starać, czekają na rezultat, lub gdy sposobność potemu, jadą do miasta Kwedaref lub Kwalabat, na rynkach których kupić można często młodego nosorożca za bardzo niską cenę. Różnicę ceny jaką płacą za zwierzęta na miejscu a ceną europejską tych zwierząt, łatwo pojąć zważywszy na koszta utrzymania i utrudnionego transportu szczególnie, podczas którego wiele zwierząt zdycha; trzeba służbę i dozorców opłacić, przewóz na parostatkach i kolejach drogo kosztuje, a opłata cła bywa zwykle także bardzo wielką, stąd koszta, a w następstwie i różnica cen miejscowych z europejskiemi. Pomiędzy zwierzętami ssącemi, słoń jest najpożądańszym, a przytem złapanie jego i utrzymanie najmniej przedstawiają trudności. Za czasów rzymskich przywożono dużo słoni do Europy; później słoń był nie tak zwykłym; w r. 1865 Casanowa przywiózł z Afryki młodego słonia, poczem już nie było ani jednego lata, by utrzymujący menażerje kilku do Europy nie sprowadzili, lub z Europy do Ameryki nie odesłali. Sir Samuel Baker i inni podróżnicy, nieraz opisywali polowanie na słonie; w okolicach Homranu odbywa się ono sposobem bardzo prostym: kilku jeźdźców wyrusza konno na wyszukanie stada słoniów, których bliskość można łatwo poznać po gałęziach zjedzonych, drzewach z kory obdartych i innych oznakach; znalezienie stada ułatwia to jeszcze, że jako rzeka Setit jedyną jest w tamtej okolicy i oprócz niej nigdzie nie ma innej wody, słonie więc na kilka mil w około zmuszone są podczas upałów trzymać się w pobliżu tej rzeki. Biegają wprawdzie słonie dość prędko, krok ich jest wielki, w krótkim czasie mogą się przenosić na wielkie dystanse i to utrudnia nieco dopędzenie tych zwierząt, lecz okoliczność ta nie jest wielką przeszkodą, bo zawsze łatwo odnaleść gdzie się słonie skryły, chyba, co często się zdarza, przeszły, na terytorjum nieprzyjacielskie Kunamy lub Bazen. Skoro zoczą stado słoniów, natychmiast jeźdźcy puszczają się za nim w pogoń i pędzą z całej mocy; słonie uciekają, przyczem niektóre pozostają w tyle; jeźdźcy wtedy pozwalają stadu uciekać gdzie oczy poniosą, a całą swą pilność zwracają na odbitych od stada. Nieraz kilka mil pędzą za niemi, aż poki słoń gnany nie zmęczy się należycie. Dopadłszy wtedy jeden z jeźdźców rzuca się naprzód a potem poczyna uciekać; słoń naturalnie zwraca się ku uciekającemu, lecz w tejże chwili drugi z jeźdźców wypada z kryjówki, zeskakuje z konia i dobywszy miecza zręcznie przebija ścięgno achilesowe w tylnej łapie zwierza; słoń wściekły znów się zwraca, lecz śmiały napastnik już daleko; trzeci bowiem z jeźdźców trzymał mu konia na pogotowiu, z czego znów korzystając ów pierwszy myśliwy, co to wprzódy tylko drażnił słonia, szybko przyskakuje z tyłu, przebija ścięgno drugiej łapy, i słoń niezdolny do dalszej walki pada i bywa zabity. Podobne polowanie jest bardzo niebezpieczne, lecz wprawni Arabowie rzadko przepłacają życiem swą śmiałosć. Z młodemi słoniami mniej ambarasu; zabijają je w sposób powyższy lub łapią żywych za pomocą powrozów, zarzucając im takowe na nogi i szyję i pląçząc w nie słonie dopóty, dopóki ten zupełnie nie zostanie oplątany tak, że zaledwie ruszać się jest w stanie. Oplątane tak młode słonie dają się łatwo prowadzić. Homrańscy łowcy znani są nie tylko u siebie, przebiegają Sudan i Sennar cały; nazywają ich zwykle Aquagirami. W podobny sposób jak na słoniów polują na bawołów, nosorożców, żyrafy i większe antylopy. Młode pojmane słonie zrazu nie dają się łatwo ugłaskać; rzucają się z początku na ludzi, lecz wkrótce dzikość ich znika; stają się doręczne i przywiązują się do człowieka; młode wcześniej a starsze później, przyczem zasługuje na uwagę, że chociaż łaskawe dla wszystkich, nigdy nie mogą się pogodzić z krajowcami; dla krajowców zawsze są z nienawiścią, dając tem dowód niezbity, że dobrze pamiętają jakiego syn rodu pozbawił ich wolności. Złapane w powyższy sposób młode zwierzęta, w ogóle liczą zwykle rok, lub najwięcej trzy lat życia; zdarza się czasami że i stare bywają łapane, ale z tnmi daleko trudniejsza jest sprawa tak przy łapaniu jak i oswojeniu. Za napój młodym dają mleko, a starym wodę, a pokarm dla wszystkich stanowią rozmaite owoce i słoma różnych roślin lub siano i młode gałązki. Na miejscu płacą za słonia młodego od 25 do 100 talarów Marji Teresy. Przy transportowaniu słoniów z Kasali do Suakinu, dość jednego przewodnika gdy słoń nie ma roku; gdy nieco starszy, zwykle dwóch ludzi prowadzi. Oswajają się wkrótce i idą spokojnie; ambaras z niemi tylko, gdy ich co przestraszy. Stają wtedy nagle a potem wrzeszcząc przeraźliwie poczynają umykać, ale zwykle jakeśmy powiedzieli, idą spokojnie jak psy za człowiekiem do takiego stopnia, że nieraz się zdarza, że na drugi już dzień po złapaniu można puścić młodego słońka zupełnie swobodnie, a on nietylko będzie iść wszędzie za swym przewodnikiem, lecz nadto poczyna zaraz brać pokarm z jego ręki, sam onej szukając, a jak zobaczy sakwy lub worki z furażem w których raz dostrzegł, że takowy się w nich znajduje, to także sam rusza do nich i rozwiązuje. takie to zmyślne źwierzątko! Na drodze z Kasali do Suakin nie łatwo spotkać się z drzewem pod który można byłoby postawić słonia, co jest niezbędnem, bo słonie potrzebują koniecznie cienia, nie lubiąc wielkiego upału. Podczas drogi słonie dla ochłody same się skrapiają wypchnąwszy wodę z żołądka do paszczy a z paszczy do trąby, oddgrywającej w tym razie rolę sikawki, lub wieczorem gdy staną na nocleg i znajdą źródło; woda tam tak rzadko się znajduje że tego ostatniego sposobu wzbraniają przewodnicy słoniom, woląc ją zabrać do miechów na zapas. W braku zupełnym wody, słonie starają się orzeźwić obsypując się piaskiem. Droga kamieniasta wielce im szkodzi; podbijają się do krwi pomimo, że pochód odbywa się bardzo pomału: 4 do 7 godzin przed południem i tyleż nad wieczorem, przyczem co trzeci dzień odpoczywają całkowicie; zwykle 16 dni potrzeba na podróż z Kasali do Suakin, dla słoni wszakże dwa razy tyle. Ładowanie ich na parostatki w Suakin odbywa się łatwo; postępują z niemi tutaj zupełnie jak z końmi lub bydłem. W czasie przejazdu morzem Czarnym i dalej dają im dobre siano, durę, zwykłe suchary lub chleb marynarski i tym podobne rzeczy. Na 10 słoniów zwykle kilku zdycha; tak naprzykład podczas transportu przez nas opisywanego, z 15 słoniów przywożono do Europy tylko 10 żywych; dwa większe zaraz zdechły po zabraniu ich na pokład, a trzy młodsze podczas drogi. W podobny też sposób przewożą nosorożców, z tą tylko różnicą że utrzymanie tych ostatnich daleko więcej przedstawia kłopotów, aniżeli utrzymanie słoniów podczas drogi; przez długi czas nie udawało się przewieźć żywego nosorożca do Europy, aż nareżcie Casanowa przewiózł w roku 1868 i zaraz sprzedał do Londynu za grube pieniądze. Podobnież ciężki jest przewóz młodych koni rzecznych poławianych w Nilu i dla tego rzadko bardzo który ogród zoologiczny w Europie może się pochwalić posiadaniem konia nilowego. I tu także Casanowie należy oddać palmę pierwszeństwa; pierwszemu jemu udało się po długich mozołach i kosztach sprowadzić zwierzę to Nilem do Aleksandrji a ztamtąd do Europy. Ostatniemi czasy powiodło się też pewnemu grekowi złapać przypadkiem nad brzegami Bar-el-Asrak młodego konia nilskiego, który jeśli się nie mylemy nabyty został do zoologicznego ogrodu w Berlinie. Bawoły, antylopy i żyrafy przedstawiają mniej trudności, tak w ich łapaniu jak i przewożeniu.

— Nieporozumienia słynnej śpiewaczki Adeliny Patti z jej małżonkiem margrabią de Caux, wywołały skandaliczne artykuły w lżejszych organach prasy francuskiej. Korzystając z uczuciowego jej usposobienia, organa owe przefabrykowały fakcik lekkiego wyrzutu uczynionego żonie przez margrabiego za kulisami petersburskiej sceny, na skandal czynej zobopólnej zniewagi. Właściwie rzecz się tak miała: W repertuarze tygodniowym impresario Ferri naznaczył „Traviatę“, w której wraz z Patti miał śpiewać tenor Massini. Tymczasem w przeddzień przedstawiania „Traviaty“, Massini z powodu niedyspozycji, odmówił udziału w przedstawieniu i z tego powodu w obwieszczeniu teatralnem, poprzedzającem wieczorem afisz dnia następnego, zapowiedziano występ Patti w „Traviacie“ z tenorem Nicolinim, będącym jak wiadomo, główną przyczyną nieporozumień margrabiego z żoną. Margrabia jakkolwiek nie mógł być z tego wypadku zadowolnionym, zamierzył jednak znieść go z godnością, jak człowiek dobrze wychowany i na „Traviatę“ udał się do krzeseł. Patti dnia tego niezbyt była dysponowaną, okoliczność ta spowodowała, że nie śpiewała tak świetnie jak zwykle, mimo to, publiczność przyjmowała ją grzmotem oklasków, a po akcie trzecim domagała się z hałaśliwym zapałem ukazania się divy. Nie chciała ona jednak wyjść sama, lecz przez pośrednictwo osoby trzeciej, wezwała znajdującego się z drugiej strony sceny Nicoliniego. Mylną jest pogłoska, jakoby margrabiemu de Caux nie wolno było wchodzić do żony za kulisy, owszem, margrabia miał tam zawsze wstęp wolny i korzystając z tego, ukazał się za kulisami w tej właśnie chwili, kiedy Patti wyjść miała na scenę z Nicolinim. W tym to właśnie czasie miało miejsce zajście, które niedyskretne gazety doprowadziły do rozmiarów skandalu. Skandalu żadnego nie było, bo wszystko ograniczyło się na tem, że margrabia zbliżywszy się do mającej wyjść na scenę żony, szepnął jej do ucha następujące słowa w taki sposób, że słyszały je osoby bliżej stojące: „Zasługujesz dzisiaj, żeby cię wysykano nie oklaskiwano. Skoro jesteś chora nie powinnaś śpiewać, ale uczyniłaś to dzisiaj dla tego żebyś mogła wystąpić z twoim kochanym Nicolinim.“ Po wypowiedzeniu tych słów, margrabia oddalił się od żony, a ta dotknięta niemi silnie, jakby to niezawodnie zdarzyło się każdej artystce znajdującej się w jej położeniu, zaniechała zamiaru wyjścia na scenę, lecz natomiast pobiegła do swojej garderoby, gdzie w rozdrażnieniu nerwowem, poczęła rzucać na posadzkę swoje brylanty. Garderobiane i kamerdyner divy widząc panią spazmującą i mdlejącą, zawiadomili o tem reżysera, żądając lekarza. Z obawy, ażeby widowisko, którego jeszcze pozostał jeden akt do odegrania nie zostało zerwane, reżyser z lekarzem pośpieszyli skwapliwie do garderoby, posianej brylantami i natychmiast divie skuteczna pomoc udzieloną została. Patti wyszła na scenę i skończyła widowisko, lecz na jej nieszczęście fakt narzeczonego wyżej zajścia z margrabią, rozniósł się po całym Petersburgu, upstrzony nieprawdopodobnemi dodatkami, a w kilka dni ukazał się w jednej z gazet artykuł, w którym nie wymieniając nazwisk autor zawiadomił publiczność o pobiciu się w garderobie margrabiostwa. Niektóre gazety paryskie skorzystały z tego artykułu i osławiły Patti przed całą Europą.

— Obecnie na placu przyszłej wystawy paryskiej przystąpiono na wielką skalę do robót hydraulicznych, celem zaopatrzenia tej miejscowości i budynków, jakie stanąć mają, w dostateczną ilość wody. Oprócz rur wodociągowych różnej objętości, ze wszystkich stron ku placowi skierowanych, na najwyższym punkcie Trocadero, urządzony będzie wielki rezerwoar na 35 metrów podniesiony nad poziom Sekwany a mogący oejąć 4,000 metrów kebicznych wody. Rezerwoar ten będzie zasycany prosto z Sekwany, za pomocą pomp potężnej siły w oddzielnym budynku ustawić się mających a będącym już na ukończeniu. Obok robót hydraulicznych, szybko postępują roboty około komunikacji telegraficznych, podziemnych.

Treść Nr. 27.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcję Józef A. L. Laskownicki.